czas. 12442/3/7

CENA 50 GR. 16-II-1935 R.

Biblioteka UMCS II 687/91/14

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

WARSZAWA ★ SOBOTA ★ 16 LUTEGO 1935 ROKU ★ ROK TRZECI ★ NUMER 7 (72)

TREŚĆ: JERZY OSTROWSKI: Nadchodzący czytelnik * KAROL IRZYKOWSKI: *Naprawa* nagrodzona * A. K.: Uwagi o kulturze socjalistycznej * STANISŁAW WASYLEWSKI: Mickiewicz rozwija sztandar Legjonu * MARJA CZAPSKA: O „łzy potęgi drugiej" * KAROLINY MEW, A. de NOAILLES, M. DESBORDES-VALMORE: Poezje * A. PATKOWSKI: Bolesław Limanowski o ruchu regjonalistycznym we Francji * L. PIWIŃSKI Ex libris * Z. AMEISENOWA: Historja sztuki * TYMON TERLECKI: Teatr * ST. FURMANIK: Muzyka * A. BOHDZIEWICZ: Zagadnienie awangardy filmowej.

NADCHODZĄCY CZYTELNIK

Zagadnienie uzgodnienia „kroku" literatury z krokiem życia, z krokiem tworzącej się historji — jest wiecznie aktualne, choć — być może — nierozwiązalne, a przynajmniej niezbadane w swojej istocie. Z jednej strony zjawiają się ambicje wskazywania przez literaturę drogi bieżącemu życiu, z drugiej jednak — aż nazbyt częste — żale twórców nowych form życia, że literatura nie nadąża za życiem, a w najlepszym razie sekunduje mu tylko słabem echem. Powraca częstym nawrotem zarzut Mickiewicza, że literatura czeka, „aż się temat świeży, jak figa ucukruje, jak tytoń uleży". Powraca często żal, że legenda nazbyt późno nieraz spowija historję w dekoracje piękna nieprzemijającego. Nierzadki jednak jest i żal „klerków", że czekać muszą dopiero na swoją publiczność, że spotykają się w pierwszym rzędzie z drwinami i niezrozumieniem, zanim zdołają sobie o tyle wychować czytelnika, aby pokonał ich rzekome „niezrozumialstwo" i przebrnął przez nową i trudną formę do wartościowej treści; albo też, aby przyjął nowe walory treściowe, odbiegające od jego skojarzeń myślowych.

Aktualność literatury pojmowana jest jednak częściej jako uwzględnienie zewnętrznych faktów historycznych, niż jako wykrystalizowanie pewnych zasadniczych, kierowniczych idej, nurtujących w danej epoce naogół nieświadomie, ale nadających ton całej wielości życia bieżącego. A jednak tylko taka aktualność literatury jest wyławianiem zjawisk najważniejszych i uświadamianiem pokoleniu współczesnemu jego własnej treści duchowej, a przez to samo — antycypowaniem przyszłości zewnętrznej, która z tej treści musi wypłynąć. Taka ambicja aktualności nie może być obca żadnej wytwórczości, jeśli nie ma ona być balonem zawieszonym w próżni, bez żadnego związku z podłożem, jeśli nie ma być zamykaniem się w wieży z kości słoniowej i zaprzeczeniem najświętszej misji twórcy: być wyrazem i głosem swojego społeczeństwa.

Jeżeli jednak ambicja ta jest nawet motorem twórczości literackiej, to niejednokrotnie dopracowuje się do rezultatów w pewnej mierze jednostronnych: do wyczuwania przez pisarza jedynie swojego pokolenia; pokolenia, z którem wzrastał, walczył i przeżywał te same koleje. Rzadziej zdarza się, aby pisarz obdarzony był tak niezniszczalną siłą młodości i ciągłego odmładzania się, aby zdołał i następnemu, dorastającemu pokoleniu służyć jako tłumacz jego podświadomej treści. A jednak... jednak nie kto inny pisze dla młodzieży, jak właśnie pisarze starszego pokolenia.

Pisarze ci, przesyceni do głębi ideami swojej epoki, próbują szczepić je, bez najmniejszej zmiany, w duszach młodego pokolenia, a nie znalazłszy oddźwięku, skłonni są do pesymistycznych wniosków, że pokolenie to żadnych wogóle idej nie posiada. Nieporozumienie to — bardzo zasadnicze i bardzo szkodliwe — może być usunięte, jednak pod warunkiem szczerej i cierpliwej chęci poznania psychiki młodzieży, jej zainteresowań, jej typu myślowego i jej potrzeb. Znajomość ta konieczna jest nietylko dla pisarzy, tworzących specjalnie dla młodzieży (choć dla nich przedewszystkiem), ale również dla każdego poważnego pisarza, wobec tego, że młodzież, pokolenie dorastające, to wszak „nadchodzący czytelnik", to nasz odbiorca jutrzejszy, i nie może być nam obojętne, czy i jak będzie on reagował na naszą myśl i nasze słowo.

Poznanie nadchodzącego czytelnika napotyka, rzecz prosta, na pewne przeszkody. Wynikają one przedewszystkiem z samego faktu różnicy psychik: człowieka niedorosłego a dorosłego, następnie zaś z trudności nałamania się do rozumienia nowych idej epoki, kiełkujących w nadchodzącem pokoleniu. Trud ten jednak opłaca się, przynosząc pisarzowi najwyższą nagrodę twórcy: oddźwięk duszy słuchacza i czytelnika. Pominięcie zaś tego wysiłku pozbawia literaturę jutrzejszych odbiorców, czytającą zaś publiczność (zwłaszcza młodą) pozostawia samopas, na pastwę literatury najgorszej, która z łatwością wciska się — jak chwast — tam, gdzie niema racjonalnej i kulturalnej uprawy.

W chwili obecnej znajomość młodego czytelnika przez pisarzy dla niego (już dziś lub w przyszłości) tworzących jest bardzo mała. Czynniki, które—pozostając ze sobą w związku — mogłyby potrzeby tej publiczności poznać, są dziś rozstrzelone i rozbieżne, wskutek czego o potrzebach rynku decydują czynniki uzurpujące sobie — nieraz bez istotnego uzasadnienia — tytuł znawstwa psychiki młodzieży i jej zainteresowań. Objektywnego sprawdzianu niema i nie próbuje go się ustalić.

Któż bowiem rozstrzyga, czy książka odpowiada potrzebom i zainteresowaniom młodzieży? Zdawałoby się, że pisarz, bądź to przez intuicję i wczucie się w psychikę młodzieży, bądź przez poznanie jej psychologji drogą studjów teoretycznych i badań praktycznych, potrafi dać materjał interesujący młodzież. Jest jednak tajemnicą poliszynela, że dyktatorami rynku beletrystyki dla młodzieży są przedewszystkiem wydawcy lub powołani przez nich, mniej lub więcej szczęśliwie (częściej — mniej) referenci działu pedagogicznego, którzy z jakichś nieuchwytnych racyj przypisują sobie znawstwo psychiki młodzieży i dyktują pisarzowi, co jest odpowiednie, co nie, co „pójdzie" i co jest „pedagogiczne". Przyczem panują tu, jak w dziedzinie kapeluszy damskich, mody, które niczem nie są uzasadnione. Tak naprzykład od dłuższego już czasu rozpowszechniło się zwalczanie pierwiastka fantastycznego, choć zarówno pedagogowie aktywni, jak badacze psychologiczni (np. Zienkowski) stwierdzają, że zainteresowania opowieściami fantastycznemi u dzieci pewnego wieku istnieją i — co więcej — są konieczne do wytworzenia sobie przez dziecko wyobraźni, niezbędnej również (a może przedewszystkiem) w szeregu dziedzin życia praktycznego. Nie mówiąc już o zaspokojeniu potrzeby estetycznej i przygotowaniu do rozumienia arcydzieł literatury pięknej. Znamienny jest pod tym względem nawrót do fantazji w literaturze dziecinnej w Sowietach. Drugim takim wyssanym z palca kanonem jest obowiązek unikania wszelkich tematów, w jakikolwiek sposób zatrącających już nietylko o wojnę, ale o wszelkie momenty walki, bójek, przygód indyjsko-korsarskich i t. p. Szczególniej propagują to kobiety, wychodząc z fałszywie pojętego pacyfizmu i braterstwa międzynarodowego. Pomijając nawet niebezpieczeństwo tego wychowania wobec tak poważnej możliwości wojny, w której napewno nie my będziemy stroną napastniczą, pomijając zagadnienie walki rasy białej z żółtą (której nie da się załatwić zdawkowem określeniem odległego „żółtego niebezpieczeństwa"), pomijając już paradoksalną niezgodność tej propagandy z akcją „Przysposobienia Wojskowego" młodzieży — stwierdzić należy, że literatura przygodowa jest naturalnem, „przyrodniczem" wprost ujściem dla instynktu walki. Szukanie i znajdowanie tego ujścia nie jest bynajmniej jednoznaczne z wyrabianiem w sobie okrucieństwa, czego obawiają się ci domorośli pacyfiści: młodzież czytająca o wybiciu załogi „blokhausu" traperów przez Indjan wcale nie zdaje sobie plastycznie i realnie sprawy z faktu zabójstw czy śmierci. Dla niej taki fakt jest równoznaczny z pokonaniem kolegi w „mocowaniu się". Gdyby ci propagatorzy znali lepiej psychologję, zdawaliby sobie sprawę, że lektura taka odgrywa rolę „katartyczną", że prowadzi do „objektywizacji" instynktu walki, a więc do jego łagodzenia i sublimowania, podobnie jak zabawa żołnierzami. Właśnie brak takiego ujścia skierować może młodzież w kierunku okrucieństwa „doświadczalnego" w stosunku do zwierząt i kolegów, bez nakazów rycerskości, które jej narzuca podobna literatura.

Wiele jeszcze możnaby przytoczyć podobnych „przesądów postępu" i pseudopedagogji, poprzestaniemy jednak na tych, jako na najtypowszych. Mogłoby się pozornie wydawać, że wydawca i księgarz, orjentując się w pokupności książki, jest jednak wyrazem potrzeb rynku, a więc zainteresowań młodzieży. Od czego jednak zależy owa „pokupność"? Wszak młodzież sama nie kupuje książek. Robią to jej rodzice, a więc dorośli, którzy zkolei opierają się na recenzjach prasy, a więc znowu na opinji dorosłych... Co jednak sądzi o tej czy owej książce sama młodzież? Czy znamy jej upodobania? Czy staramy się je poznać? Czy pisarz wie, jak jest jego książka przyjęta przez tych, dla których pisał?

Czasem zdarzają się takie odgłosy: młodzi czytelnicy piszą czasem do autorów, ale wiedzmy o tem, że posiadają oni znany przez psychologów fakt podświadomego pomijania w książce tego, co im nie odpowiada, i wybierania z niej tylko momentów odpowiadających ich upodobaniom i za-

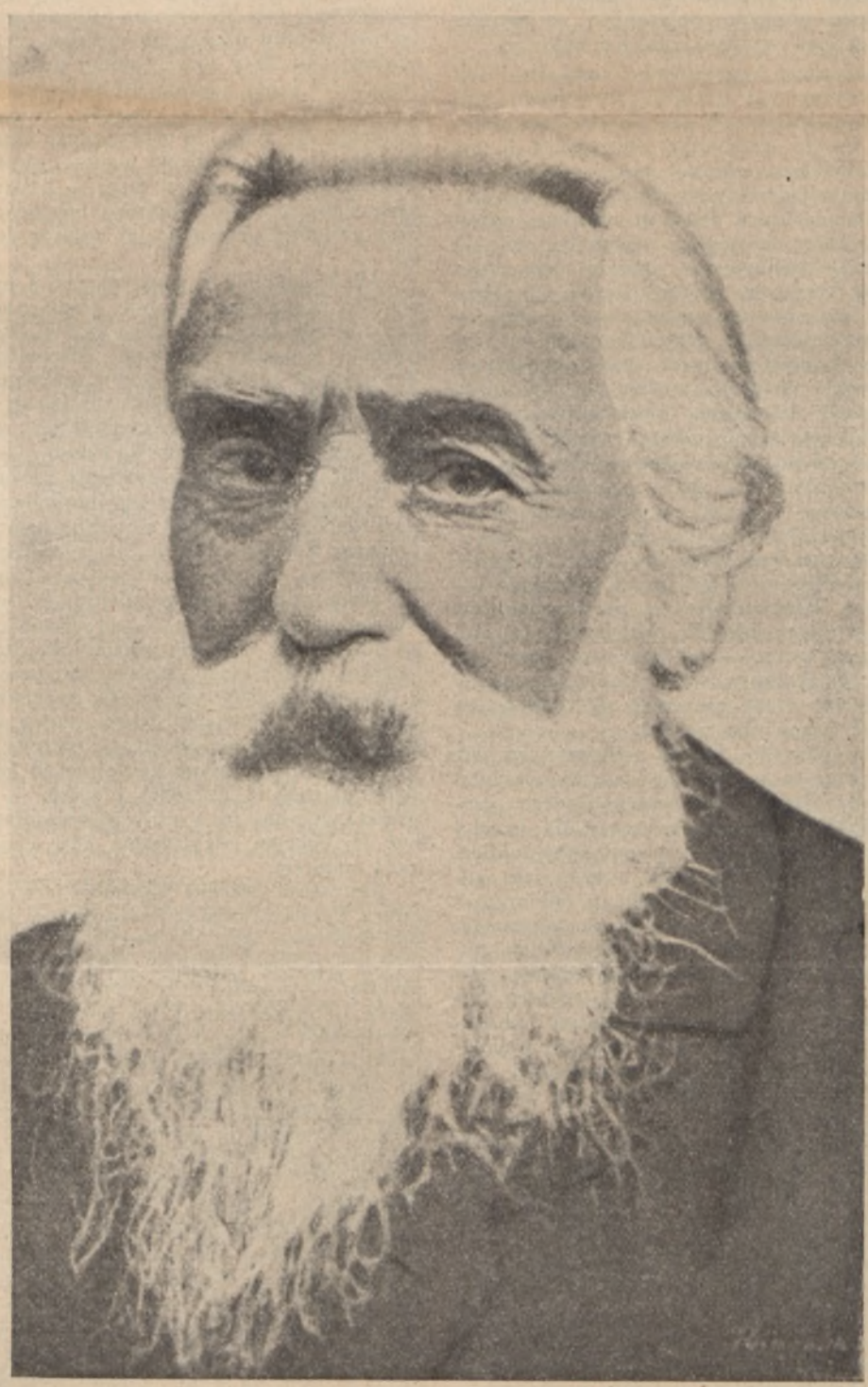

BOLESŁAW LIMANOWSKI

BOJOWNIK O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI, BADACZ DZIEJÓW POLSKI I RUCHÓW SPOŁECZNYCH XIX W., SENATOR RZECZYPOSPOLITEJ, *DOCTOR HONORIS CAUSA* UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO, ZMARŁ W SETNYM ROKU ŻYCIA W WARSZAWIE DNIA 2 LUTEGO 1935 R.

interesowaniom. jest to więc publiczność wybitnie poczciwa i pokorna. Czy jednak posiadając możność wyboru wśród szeregu utworów, oświadcza się młodzież (prawdziwą większością, a nie pojedyńczemi głosami!) za tą a nie inną książką? Któż to bada? A może nie należy badać? Może do nas właśnie, do starszego pokolenia, należy decydowanie, co młodzież ma czytać? Może czytać będzie tylko to, co jej podsuniemy (nakażemy?) i nic innego?

Zapewne: możemy niektóre książki podsuwać młodzieży i w ten sposób urabiać ją w myśl postulatów społecznych, ale musimy i w tym wypadku opierać się na jej naturalnych zainteresowaniach: „szczepić" na nich, jak to się mówi w pedagogice. Ale nie łudźmy się, że możemy w tej dziedzinie gospodarować według swego widzimisię: jeśli nie damy młodzieży literatury odpowiadającej jej, a postawionej na odpowiednim poziomie artystycznym — młodzież znajdzie sobie literaturę brukową, która i smak jej i wrażliwość sumienia nieznacznie obniży zczasem do poziomu dorosłych odbiorców Wallace'a.

Jeśli zaś zbyt forsownie i... udatnie przeprowadzimy postulat karmienia młodzieży tem, co my uważamy za stosowne dla niej, a nie zostawimy jej żadnych możliwości zapoznania się z literaturą inną (choćby brukową), — dochowamy się do całkowitego upadku czytelnictwa, co już częściowo święcimy. Zdajmy sobie bowiem sprawę, że przejście od literatury specjalnej dla młodzieży do t. zw. arcydzieł i normalnej beletrystyki dla dorosłych stanowi osobne, wielkie zagadnienie, którego nie umieliśmy dotąd nietylko rozwiązać, ale nawet dostrzec. Zadowalamy się, że młodzież z narzekaniem i ociąganiem się „wykuwa" treść zadanych arcydzieł i powtarza — świadomie kłamiąc — przepisowe zachwyty nad utworami, w istocie zachwycając się zgoła inną literaturą.

Pisarze pragnący dotrzeć do młodzieży mogliby być stopniem pośrednim i niejako „ambasadorami" literatury w szkole, ale w tym celu należałoby sprawę postawić zgoła inaczej, a raczej postawić ją wogóle. Np. należałoby przedewszystkiem dojrzeć i uznać, że młodzież ma lekturę „samorzutną", podpatrywać jej chwyty, a zarazem omawiać otwarcie jej walory w porównaniu do literatury prawdziwej.

Konieczność *studjów nad zainteresowaniami czytelniczemi młodzieży* jest tem bardziej oczywista, że młodzież — jakkolwiek w pewnym określonym wieku posiada pewne stałe zainteresowania — zmienia się stale. Żadne pokolenie nie jest podobne do drugiego (a i w obrębie jednego „pokolenia", które jest wyrażeniem rozciągliwem, mogą być już różnice), jedna dzielnica kraju różni się od drugiej, jedna warstwa ludności od innej, a jeszcze należy uwzględnić różnice płci. Studja te winny więc być stałe, a wyrażać się powinny w statystyce czytelnictwa oraz przeprowadzanych ankietach. Pozatem należałoby pogłębić studja nad zainteresowaniami młodzieży wogóle w istniejących seminarjach psychologicznych i pedagogicznych, przez poszczególnych badaczy psychologicznych. Wyniki zaś powinny być komunikowane zarówno pisarzom jak wydawcom, oraz niektórym czynnikom rządowym, jak np. Komisji Ocen książek do czytania dla młodzieży, a kto wie, czy i nie wszystkim mającym do czynienia z tworzeniem nowych programów szkolnych. Inaczej będziemy zdani na przypadkowość i dorywczość pracy.

Dla piszącego te słowa ciekawym materjałem do rozważań na ten temat była niewielka ankieta, przeprowadzona na terenie jednego miasta, w dwóch szkołach średnich (męska i żeńska) i dwóch powszechnych (również męska i żeńska). Wyniki te nie mogą być oczywiście miarodajne (mimo wyeliminowania odpowiedzi przypadkowych i wyraźnie odbiegających od ogółu), ze względu na szczupły zakres i uwzględnienie jednego tylko rejonu. Mimo to jednak pewne wnioski nietylko nasunęły się dla mnie, jako autora piszącego dla młodzieży, ale mogły stać się nawet pewną dyrektywą dla działalności miejscowych bibljotek.

Tak naprzykład pewną niespodzianką był dla nas wielki procent głosów opowiadających się za powieściami historycznemi, podczas gdy my — starsi — zasugerowani panującemi poglądami, skłonni byliśmy przypuszczać, że wśród młodzieży dominują zainteresowania lekturą techniczną, przyrodniczą lub geograficzną.

Cyfrowo przedstawiają się te zainteresowania w następujący sposób:

Szkoła powsz. męska: Kl. V — 40%, Kl. VI — 43%, Kl. VII — 40%.

Szkoła powsz. żeńska Kl. V — 26%, Kl. VI — 21%, Kl. VII — 34%.

Szkoła śred. męska: Kl. I — 31%, Kl. II — 26%, Kl. V — 40%. Kl. VI — 35%, Kl. VII — 35%, Kl. VIII — 28%.

Szkoła średn. żeńska: Kl. I — 37%, Kl. II — 17%, Kl. V — 30%, Kl. VI — 16%, Kl. VII — 36%, Kl. VIII — 28%.

Lektura fantastyczna ma bardzo wielu zwolenników (a zwłaszcza zwolenniczek) w szkole powszechnej, a nawet (u dziewcząt) w szkole średniej. W szkole powszechnej żeńskiej wyraża się to liczbą: 46% w klasie V-ej, w szkole zaś średniej żeńskiej, w klasie I-ej (a więc jeszcze u dzieci trzynastoletnich) cyfrą 12% i 6% w klasie II-ej. U chłopców — tylko 8% w klasie V-ej szkoły powszechnej.

Książki przygodowo-podróżnicze mają następującą poczytność:

Szkoła powsz. męska: Kl. V — 44%, Kl. VI — 50%, Kl. VII — 52%.

Szkoła powsz. żeńska: Kl. V — 12%, Kl. VI — 32%, Kl. VII — 22%.

Szkoła średn. męska: Kl. I — 45%, Kl. II — 38%, Kl. V — 30%, Kl. VI — 14%, Kl. VII — 2%, Kl. VIII — 3%.

Szkoła średn. żeńska: Kl. I — 13%, Kl. II — 14%, Kl. V — 10%, Kl. VI — 4%, Kl. VII — 4%, Kl. VIII — 0.

Bardzo znamiennym objawem, niedość przez pisarzy i wydawców uwzględnionym, jest brak zainteresowania u młodzieży męskiej powieściami na tle własnego środowiska, podczas gdy u młodzieży żeńskiej zainteresowanie to występuje w stopniu bardzo silnym. Dlatego też silny prąd ku forsowaniu tego typu powieści, który ostatnio zaznaczył się w sferach niektórych działaczy społecznych. a pozostaje pod wyraźnym wpływem kobiet, jest chybiony, jeżeli chodzi o młodzież męską, którą pociąga raczej urok środowisk nieznanych, egzotycznych, gdyż znajduje w tem ujście dla tej swoistej tęsknoty, która młodzież męską nurtuje. Ignorowanie różnicy zainteresowań między młodzieżą męską i żeńską (co jest również jednym z ulubionych przesądów współczesnych) skłania nieraz do podsuwania strawy, która jej nie odpowiada.

Cyfrowo przedstawia się ta dziedzina w następujący sposób:

Szkoła powsz. żeńska: Kl. V — 8%, Kl. VI — 10%, Kl. VII — 30%.

Szkoła średn. żeńska: Kl. I — 34%, Kl. II — 47%, Kl. V — 18%, Kl. VI — 4%, Kl. VII — 4%.

(U w a g a: zmniejszanie się tego zainteresowania tłumaczy się jednoczesnym wzrostem zainteresowań powieściami o szerszem podłożu społecznem, co wyraża się cyfrowo w innej rubryce ankiety).

Natomiast w szkołach męskich, tak powszechnej jak średniej, *ani jeden głos* nie opowiedział się za powieściami osnutemi na tle środowiska własnego, t. j. życia młodzieży szkolnej lub środowiska, z którego młodzież pochodzi.

Na podstawie dalszych wyników cyfrowych, które tu pominę, nasunęły mi się wnioski (hipotetyczne narazie), że nowoczesna literatura psychologiczna w małym tylko stopniu interesuje naszą młodzież (zwłaszcza męską). Natomiast zaznacza się nieoczekiwany zwrot do pisarzy pozytywistycznych, którzy wydają się być bliżsi młodzieży dzisiejszej. Zresztą fikcja artystyczna wogóle nie posiada wśród młodzieży zbyt wielu zwolenników i większość odpowiadających na ankietę domaga się od literatury — nieraz nieco naiwnie — autentycznej informacji o życiu.

Pozatem ankieta wykazała niezmiernie ubogi zakres poznanej przez młodzież literatury. Nie spotyka się prawie zupełnie utworów nie objętych obowiązkowym programem, a ten — jak wiemy — jest niezmiernie szczupły, wobec tego, że stanowi minimum, a nie maximum lektury, którą młodzież powinna poznać.

Czy wszystko to nie wykazuje, że jest najwyższy czas zająć się badaniem zainteresowań literackich „nadchodzącego czytelnika"? Czy literaci tworzący dla dzieci i młodzieży nie powinni poznać swej publiczności i być informowani o tem, jaki oddźwięk znajduje ich książka u odbiorców? Czy zresztą wszyscy pisarze mogą pozostawać nadal w swojej *splendid isolation*, nie troszcząc się o rosnących czytelników, którzy coroku wychodzą ze szkół średnich, powiększając przecie grono dorosłej publiczności? Czy my wszyscy — starsze pokolenie — możemy obojętnie przechodzić koło zagadnienia, co młodzież czyta i... czy czyta wogóle?

Wydaje mi się, że dorywczość, przypadkowość i apriorycznośc w tej dziedzinie jak najrychlej powinna ustąpić planowym studjom, na podstawie porozumienia wszystkich zainteresowanych czynników.

Tej tylko — tak oczywistej zdawałoby się prawdy — chciałem dowieść w niniejszym artykule.

JERZY OSTROWSKI

INFORMACJA PRASOWA POLSKA

jedyne od lat 15-tu w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej", Warszawa, Bracka 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 9-41-53).

NAPRAWA NAGRODZONA

Jalu Kurek

Tegoroczną nagrodę dla młodych przyznała Polska Akademja Literatury Jalu Kurkowi za powieść *Grypa szaleje w Naprawie*. Jej wartości artystyczne i społeczne przeważyły nad awangardowem zuchwalstwem wierszy Karpińskiego, nad oryginalną obserwacją prozy Rudnickiego, nad klasową czupurnością Szemplińskiej i nad klasycznem solo fletowem Kołonieckiego, nad religijnem zadumaniem liryki Bąka i nad otoczoną wysokiemi protekcjami szczerością Uniłowskiego, nad rewolucyjnym patosem Wasilewskiej wreszcie. Trzech bodaj najgodniejszych, — Flukowskiego, Kruczkowskiego i Sebyły, — już nie mogła dosiąc nagroda, ponieważ łódka ich życia już minęła rozstrzygający łuk wieku lat 30, naznaczony regulaminem nagrody jako granica ostateczna. Nieraz w Akademji podnoszono niesprawiedliwość tego postanowienia. Przecież właśnie około 30-ego roku życia wzbiera ogromnie fala biologiczna i niemal ze statystyką w ręku dałoby się wykazać, że najczęściej rok 30-ty bywa rokiem przesilenia twórczości, kiedy nagromadzone doświadczenia młodości dążą do wybuchu lub do likwidacji, czy tylko do ostatecznego sformułowania. Zanim się dzieło napisze, poprawi, wydrukuje, mija pewien czas, — i dlatego, zachowując naczelną intencję nagrody, byłoby najlepiej przesunąć jej granicę do lat 33.

Akademja po raz drugi nagradza prozę, ale tym razem jest to proza, która przeszła przez szkołę liryki, i to znać na niej. Kurek ulegał z początku wpływom Marinettiego, bawił się w manifesty; potem awangardził się w *Linji*, wydawał tomiki wierszy, w których oko wyłapuje przedewszystkiem metafory, tak jak dawniej szukało rymów, — lecz jego obrazowość była przeważnie zrozumiała, dlatego jako nowator nie imponował mi po Przybosiu i wydawał się jakby nieautentycznym. Zastanowił mnie raz jego manifest do poetów, aby opiewali potęgę i piękno Rzeczypospolitej; byłem zdania, że wszelkie „opiewanie", tak jak i „wyrażanie", mogą odnosić się tylko do przedmiotu już gotowego, zamkniętego, przeto są sprzeczne z Awangardą jako głosicielką dynamiki, a więc zmian. Tymczasem Kurek, autor pełen niespodzianek, pisał już swoją *Naprawę*, powieść, w której opiewa raczej to co jest w Rzeczypospolitej brzydkie i słabe, — nie przestając mimo to, a może właśnie dlatego, być jej dobrym obywatelem. Tak wypełnił swój manifest.

Zastrzeżeń przeciw *Naprawie* jest coniemiara. Przeczuwałem je i rozważałem, zanim oddałem swój głos za Kurkiem. Przedewszystkiem zjednał mnie wysoki stopień dojrzałości — nietyle artystycznej co stylistycznej — tej powieści, która obejmując znaczny zakres rzeczy, osób i zdarzeń konkretnych. jednak zachowuje wciąż zalety poematu. Chociaż tu i owdzie stosuje t. zw. zdobycze awangardowe, jest po staremu ładna i łatwa. Wypełnia ją reportaż o ubogiej wsi podhalańskiej Naprawie, położonej koło Jordanowa, kronikarskie obrazki z życia tamtejszego chłopstwa i inteligencji. Toby mogło być nudne, gdyby opis był pedantyczny i obciążony obligatoryjną dziś niemal służbą społeczną: wykazywania wad ustroju. Na szczęście nie jest tego zbyt wiele, — w sam raz, i równocześnie służy jako barwa w obrazie. Doskonały brak fabuły; nawet epizody, któreby się mogły wzajem uzupełniać i rozwinąć w jedną linję, traktowane są dość krótko, przeplatają się z wątkami coraz to innemi i dzięki temu nie wyrywają się zbytnio na pierwszy plan. Zdania są przeważnie krótkie, utrzymane w czasie teraźniejszym, a ponieważ materjał obserwacyjny napływa obficie i rozmaicie, to wszystko razem jest impresjonizm w najlepszym gatunku. Nic dziwnego, bo przecież futuryzm Marinettiego w początkach nawiązywał do impresjonizmu.

Impresjonizm na szerszej przestrzeni, w powieści, bywa niebezpieczny, może wywołać monotonję, lecz w *Naprawie* lotność i trafność słowa, świetność opisów, ciepło sentymentu, sprawiają, że ciekawość czytelnika, mimo braku fabularnego napięcia, nie słabnie do końca. Coś wibruje wciąż w tej powieści, coś co się nie sprawdza, jednak podnieca. Aby sobie wyobrazić jej przeciwieństwo, przypomnijmy *Dwa księżyce* Kuncewiczowej. Podobny temat: miasteczko i jego mieszkańcy, topografja, psychologja i socjologja miejscowości, ale jakże inaczej opracowany: każdy epizod, prze-plastycznie namalowany a nie rzucony na papier, ma jeszcze sztolnię, która prowadzi wgłąb, do symbolów, do filozofji.

W powieści Kurka ludzie prawie że z sobą nie rozmawiają, lub też z ich rozmowy nic nie wynika; autor przytacza fragmenty ich rozumowań, czasem ważnych, czasem obojętnych lub tylko charakterystycznych, przytacza tak, jakby mu chodziło tylko o wypełnienie pewnego miejsca w obmyślonej kompozycji. Co pewien czas np., rytmicznie, wracają rozumowania starego emeryta Korabiowskiego nad bieżącą polityką Europy w r. 1933, gdy tymczasem inne osoby pracują, biedują, kochają się, płodzą, chorują, umierają. To, że tak powiem, przylepienie ludzi do krajobrazu, daje mu wiele powietrza, perspektywy, ale pozostaje też w głębszym związku z treścią, i może — z brakami treści. Autor, sam syn Podhala, jakby chciał nam powiedzieć: Nie mogę dostrzec w mojej ukochanej Naprawie nic, coby się naprawdę działo; niema u mnie żadnego przebiegu cokolwiek dramatycznego, i nic się u mnie nie dzieje, bo w samej Naprawie nic się nie dzieje; jest ona biedna, a przez to i nudna; to jest wieś zapomniana od Boga i ludzi; dla turystów jest piękna,— lecz skalista jej gleba nie wyżywia mieszkańców; więc żyją oni jak zwierzęta, i także inteligencja, która tam osiada, zostaje owładnięta tą beznadziejnością życia, nie ma co robić i marnieje. Tylko moja sztuka, sztuka poety, może tę Naprawę uczynić interesującą.

I rzeczywiście „opromienił" Naprawę, — nawet może wbrew swoim intencjom. Jest to powieść ładna, ale nie buntownicza, ma tylko buntownicze akcenty i ustępy, — wprawione w artystyczną całość kompozycyjną, nie wybuchające, nie narzucające się z konsekwencją dramatyczną. Czytałem parę recenzyj o *Naprawie*, które podnosiły jej walory społeczne. Wszystkie te recenzje wyłapały niemal te same ustępy z powieści, ustępy zawierające szczegóły co do nędzy chłopskiej w Naprawie (brak kościoła, brak soli, nadmierne podatki, złodziejstwo wójtów); następnie za onanję bezrobotnego magistra filozofji zwaliły odpowiedzialność na kryzys i bezrobocie; w końcu nawet ową grypę, która szaleje w Naprawie, uznały za skutek nędzy panującej w wiosce. Ale właśnie charakterystyczne jest, że autor, powodując się może kronikarską uczciwością, uchylił się od przyczynowego związania grypy z nędzą. Przecież ta grypa powala nietylko nędzarzy, lecz i ludzi zamożnych. Jest jeszcze sporo innych aluzyj w tej powieści, które może wyzyskać recenzent polujący na tak modne dzisiaj motywy społeczne, jako że po obu, czy po trzech stronach „barjery" jest dziś krzyk o naprawę ustroju. Z obowiązku przytaczam jeden taki ustęp (rozmowa dwóch inteligentów):

— Za dużo ludzi wierszem śpiewało niezrównany urok tych skalistych powiatów. Za mało ludzi ratuje Podhale. Tu powinien przyjść lud, któryby zaczął robotę szturmową koło tej ziemi, ktoś, ktoby poprowadził generalny atak na przyrodę. Któż pierwszy rzuci hasło podboju Podhala? Niech ten bunt raz będzie zbiorowy i bohaterski... Trzeba pomóc chłopskim rękom: traktory, kosiarki, młocarnie, centryfugi, nawozy sztuczne... Z nędzy trzeba robić niebo.

Tak pięknie i mocno mówi ów inteligent onanizujący się; ale Kurek nie ma ambicyj duszoznawczych i charakterologicznych. Od siebie tu autor dodaje:

Tak. Z nędzy trzeba robić niebo... Lecz kiedy nastąpi mobilizacja dołu przeciw górze, to znaczy przepowiadane przez proroków wniebo- i wpiekło-wstąpienie, — wstanie Naprawa, skuta w lutowy mróz, pobita żywiołem, kupiona ciałami nędznych nieboszczyków — i pójdzie prosto w niebo. Jeżeli jest niebo — niebo jest dla Naprawy.

Jak gorąco przemawia tu miłość do ziemi ojczystej. Jak przeżegnanie krzyżem świętym. Ale co na to powie najbliższy kolega i rywal autora, Marjan Czuchnowski? Przecież w ostatnim numerze *Tygodnika artystów* w artykule *„Linja" bez linji* wytyka Kurkowi z powodu jego poezyj „gruby, chadecki religjantyzm", „dwulicowość społeczną", „burżuazyjny radykalizm zachowawczy". A teraz Kurek swoją powieścią wprost prowokuje krytykę do porównań: Kurek — Czuchnowski. Czuchnowski, syn

tej samej ziemi (zachodnia Małopolska) napisał dwa poematy awangardowe *Tak* i *Trudny życiorys*, gdzie bohaterką zbiorową jest również wynędzniała wieś. Te poematy z powodu swej trudnej i pretensjonalnej formy są mi obce, nie rozumiem ich w szczegółach, dlatego nie mogę się do nich zapalić,— lecz rozumiem ich intencję. Czuchnowski obok nędzy chce przedstawić, może przedwcześnie, narastające „uświadomienie klasowe“ chłopa, chucha na tę słabą roślinkę. Klasowe — nie żadne inne; klasowe, więc bojowe, organizacyjne. Bądźcobądź panuje w tych poematach pewien żywioł dramatyczny. W przeciwieństwie do Kurka Czuchnowski mówi o brzydocie naprawdę brzydko, z rozmysłem ordynarnie i mocno. Wyciąga konsekwencje rewolucyjne i oto chłop, który w ciemnościach osłaniając zapaloną świecę, biegnie między pańskie obejścia, by podpalać; oto trzask karabinów maszynowych, walka chłopów z wojskiem. Wieś Czuchnowskiego jest dosłownie w ogniu, wieś Kurka tylko rozprażona przez upał słoneczny.

Nie chcę się wdawać w rozważania polityczne, nie są tu one potrzebne. Chcę tylko stwierdzić — wbrew innym krytykom — pewien brak w powieści Kurka, zresztą tak ściśle i tak ciekawie zespolony z jej konsekwentnie przeprowadzoną formą. Gdyby się zapytać, co w tej *Naprawie* zainteresowało naprawdę samego autora — czy oskarżenie społeczne? Odpowiedź: nie. Naprawdę interesowała go grupa inteligencka, ta do której recenzenci żywią obligatoryjną pogardę (vide Rosja!), a wśród tej grupy najwięcej — miłość ślepnącego muzyka Zygmunta do prostytutki Zeńki, miłość wręcz romantyczna i w objawach nieprawdopodobna, a jednak porywająco i czule opisana — wygrana jakby na jaworowych skrzypcach podarowanych Zygmuntowi przez umierającą kochankę.

Ileż to razy zdarza się u autorów takie potajemne przesunięcie zainteresowań; rozum naznaczy pewne zadanie, ważne, szanowne i modne, ale serce ciągnie gdzieindziej, zadanie zostanie zdradzone, krew nie w tę stronę napływa; jakże trudno o zgodność namiętności twórczej z twórczym rozumem.

A jednak *Naprawa* i w tej postaci, jaką przybrała, jest dziełem także społecznie ważkiem, przez swoją uporczywie utrzymaną, wrywającą się w pamięć wizję: wieś, głęboko w dole, widziana z lotu ptaka, cała jak w mapie plastycznej, kocioł rozpalony od słońca, z ludźmi snującymi się nieporadnie jak owady, wieś zahipnotyzowana i straszna. Nie dziwiłbym się, gdyby nazwa *Naprawa* stała się wśród polityków słowem lotnem — gra słów nasuwa się tu sama — na oznaczenie wszystkich miejscowości w Rzeczypospolitej, wymagających naprawy.

KAROL IRZYKOWSKI

UWAGI O KULTURZE SOCJALISTYCZNEJ

Twórcy rewolucji bolszewickiej na jednem z naczelnych miejsc swego programu stawiali hasło tworzenia nowej kultury — kultury panującej warstwy proletarjatu. Rewolucja kulturalna w oficjalnem sformułowaniu, obowiązującem do dzisiaj, polega na „przezwyciężeniu przeżytków kapitalizmu w ekonomice i p s y c h i c e ludzi i przekształceniu całej ludności pracującej kraju na ś w i a d o m y c h i aktywnych budowniczych bezklasowego, socjalistycznego społeczeństwa“. Cokolwiek jednak Lenin i jego następcy wkładali w pojęcie kultury proletarjatu i jakkolwiek problem ten ujmowali teoretycy komunizmu, faktyczna treść tego pojęcia kształtowała się w zależności od etapów rozwoju państwa sowieckiego. W okresie walki o utrwalenie nowego ustroju i zmobilizowania w tym kierunku wszystkich dostępnych sił i środków literatura, nauka, sztuka musiały również służyć temu górującemu nad wszystkiem celowi: cechowała je wówczas podnoszona do dogmatu utylitarność. Stały się one jednem z najważniejszych narzędzi propagandy socjalizmu i bezlitosnej walki z siłami wrogiemi; inne ich cele i zadania były czemś zupełnie drugorzędnem i pobocznem, rodzajem zbytku, który można było conajwyżej tolerować. Plakat propagandowy, dramat czy wiersz agitacyjny górowały nad dziełami czystej sztuki. Instytuty języków wschodnich, wydziały orjentalistyczne uniwersytetów służyły niemal wyłącznie agitacji komunistycznej i filosowieckiej w krajach azjatyckich. Nauka ścisła o tyle cieszyła się poparciem władzy, o ile mogła być natychmiast dyskontowana dla celów praktycznych.

W tem stadjum zmagania się z dawnym ustrojem kultura proletarjatu z natury rzeczy była pojmowana jako antyteza kultury burżuazji. Wyłączono z niej sprzeczne z podstawowem pojęciem kolektywu ludzkiego pierwiastki indywidualizmu. Zasadniczym atrybutem nowej kultury musiało być służenie masie, jej powszechność i dostępność dla najszerszych warstw ludności, przy jednoczesnem lekceważeniu wszystkiego, co mogło być przeznaczone dla węższego koła elity intelektualnej. Ci, którzy tę kulturę mieli nieść w masy, winni ją byli podawać w sposób najprzystępniejszy dla ogółu, naginając do niego swój poziom, przemawiać językiem, któryby trafiał do jego zrozumienia. Rewolucja kulturalna była zatem procesem rozwojowym wszerz — głównym jej miernikiem były rezultaty liczbowe, kryterja formy, wysokiego poziomu mało obowiązywały. Niebawem i w roli przedstawicieli tej kultury zaczęły występować coraz to szersze warstwy ludzi, posiadających za główną, często jedyną kwalifikację, swoją przynależność do proletarjatu. Wciąganie mas do czynnego udziału w formowaniu kultury wydobyło wprawdzie na powierzchnię sporo wartości ukrytych, jednakże nie mogło z drugiej strony nie doprowadzić do zatarcia granic między prawdziwą sztuką i nauką a jej zwulgaryzowanemi namiastkami. Jeżeli wziąć za przykład literaturę, to poza wybiciem się kilku utalentowanych autorów ze sfery robotniczej, miało ono za wynik zjawisko masowej grafomanji, której przejawy przetrwały do dnia dzisiejszego.

Z przeciwstawienia się kulturze burżuazyjnej wynikało również faworyzowanie w twórczości artystycznej tych kierunków, które w dobie przedrewolucyjnej uchodziły za wyraz buntu przeciw panującym prądom i konwenansom. Da się to powiedzieć o futuryzmie w literaturze, o nowatorskich prądach w malarstwie, które przez pewien czas uważano niemal za urzędowe. Najwięcej jednak, czy w sztuce, czy w nauce, popłacał stempel marxizmu i nawiązywanie najodleglejszych tematów do zagadnienia walki klas. Wszystkie zjawiska, a więc i zjawiska z dziedziny życia kulturalnego, klasyfikowano według schematów socjologicznych, wszędzie dążono do oparcia się o autorytet, o kanony wiedzy komunistycznej. Do każdego problematu, do każdego niemal drobiazgu życia codziennego ustosunkowywano się pod kątem widzenia panującej ideologji i jej aktualnych zagadnień — czy to rewolucji światowej, czy potem budownictwa socjalistycznego.

Wszystkie te momenty, na których tle formowało się pojęcie kultury socjalistycznej, uległy z czasem gruntownej ewolucji. Trudno jest uchwycić jakiś punkt zwrotny, któryby rozpoczynał nową epokę. Ewolucja odbywała się stopniowo, w miarę przeobrażeń we wszystkich innych dziedzinach życia sowieckiego. Można jednak odnaleźć kilka istotniejszych czynników, które jej nadały linje rozwojowe.

Postępująca naprzód stabilizacja społeczna i polityczna Sowietów wyzwoliła część sił, które przedtem w całości były zmobilizowane w walce o utrwalenie nowego systemu. Szereg problemów, uznawanych dotąd za podporządkowane celom ogólniejszym i za drugorzędne, nabrał samoistnego znaczenia i wagi. Naskutek rozluźnienia stanu pogotowia bojowego wyłoniło się w nowej, wprawdzie skrępowanej jeszcze formie, zagadnienie człowieka, już nie jako członka kolektywu lub trybu w mechanizmie społecznym, lecz jako indywiduum z jego własnemi cechami i dążeniami, z odrębnym zakresem wymagań materjalnych i duchowych, upominającego się o prawa do życia osobistego. Proces ten w ciągu ostatnich paru lat postępuje w tempie przyspieszonem. Nie osiągnął on jeszcze stopnia jakiegoś przełomu moralnego i przedwcześnie byłoby mówić o odrodzeniu indywidualizmu, jest to jednak poważny nurt podziemny, dający znać o sobie i znajdujący odbicie w omawianej tutaj ewolucji kulturalnej.

Niemniej doniosłe znaczenie posiada odbywające się na naszych oczach różniczkowanie społeczne, wytwarzanie się już niemal klasy rządzącej, administracyjnej, a nawet posiadającej. Jak wiadomo, postulat równości potrzeb i równości ich zaspokajania należy dzisiaj pod postacią osławionej „urawniłowki“ do największych herezyj w Sowietach. Potępił go na XVII Zjeździe Partyjnym Stalin, operując dostateczną ilością cytat z Marxa, Engelsa i innych klasyków komunizmu. Temu powstawaniu i stabilizacji nierówności społecznych towarzyszy rozwarstwianie się intelektualne. Znajduje ono wyraz w coraz to widoczniejszem wybijaniu się nad powierzchnię życia sowieckiego, we wszystkich jego dziedzinach, sfer inteligencji. Sfery te nie są jeszcze zbyt liczne i zwarte, aby systemowi sowieckiemu nadawać swe oblicze, jednakże ciężar gatunkowy i konsolidacja ich stale wzrasta. W każdym razie zdobyły one już sobie pełnię praw, a w niektórych wypadkach nawet stanowisko uprzywilejowane, że weźmiemy za przykład ludzi nauki i wyższy personel kierowniczy w przemyśle. Mają one dzisiaj za sobą czynniki rządzące, które same w większości rekrutują się z dawnej inteligencji rewolucyjnej. Warstwa intelektualna, czy to należąca do starszego pokolenia, czy też do młodej inteligencji sowieckiej, posiada dzisiaj zakres własnych wymagań, których nie potrzebuje już naginać do potrzeb przeciętnego obywatela. Wnosi ona w pojęcie kultury i postępu własne mierniki i kryterja.

Wreszcie, podobnie jak w życiu gospodarczem kraju i procesie jego przebudowy probierzem wartości pracownika przestał być bilet partyjny, tak samo w dziedzinie życia kulturalnego zjawiły się wątpliwości, czy pieczątka marxistowska może zastępować wszystkie inne sprawdziany i czy wogóle ma pozostawać jako główne kryterjum. Walka na tem tle nie jest jeszcze zakończona; wszyscy ci, którzy na operowaniu prawomyślnością partyjną porobili karjery, bronią uporczywie swych pozycyj; w każdym razie jasnem się stało, że oprócz miary lojalności czy entuzjazmu dla ustroju panującego — która jest obowiązująca dla wszystkich — zjawiły się miary inne, również decydujące.

Byłyby to chyba wszystkie ważniejsze przemiany, na których tle odbywała się rewizja poglądów na istotę kultury socjalistycznej. Proces ten nie odrazu posiadł formę skrystalizowaną i nie odrazu znalazł swój właściwy kierunek. Krępowały go ogólne ryzy ustroju sowieckiego, przy którym wszelka inicjatywa zmiany nastawień może wyjść tylko zgóry, a wszystko musi być ponadto upozorowane ciągłością jednej linji rozwojowej. Chociaż więc głębsze umysły sowieckie zdawały sobie oddawna sprawę z niedomagań życia duchowego i kulturalnego w państwie socjalizmu, ograniczano się conajwyżej do osądzania pojedyńczych zjawisk, natomiast nikt nie ośmielał się podawać w wątpliwość słuszności panujących kierunków. Pierwsza faza ewolucji kulturalnej odbywała się pod postacią pewnych koncesyj na rzecz pierwiastków dotychczas uważanych za zbyteczne, nie zaś w drodze kwestjonowania uznanych wartości. Rewizja samych kryterjów kultury mogła się rozpocząć dopiero wówczas, kiedy hasłem dnia na wszystkich odcinkach życia sowieckiego stała się walka o wysokie poziomy wykonania. W tym okresie nastąpiły pierwsze poważniejsze starcia szermierzy wysokiej formy artystycznej i głębokiego ujmowania tematów w literaturze i sztuce z przedstawicielami tych kierunków, które za najbardziej decydujące sprawdziany wszelkiej twórczości uważały w dalszym ciągu dostępność dla mas i aktualne znaczenie propagandowe. Kierujące czynniki sowieckie wypowiedziały się na korzyść tej pierwszej strony. Dopiero z tych pozycyj stało się możliwe dalsze pogłębianie procesu przewartościowania, sięgającego już samego ujęcia zadań i cech kultury proletarjatu.

Rewizja dotknęła przedewszystkiem zagadnienia miejsca, jakie w ogólnym dorobku kulturalnym ludzkości winna zająć tworząca się kultura proletarjatu. Przedstawię osobno momenty, które ułatwiły rozwiązanie tego zagadnienia na podstawie daleko idących kompromisów.

A. K.

MICKIEWICZ ROZWIJA SZTANDAR LEGJONU

Eustachy Januszkiewicz to był niebyle kto. Nietylko współwydawca *Pana Tadeusza* i bohater wiersza Słowackiego: *Do księgarza*. Bo ponadto jeden z niewielu ludzi w emigracji listopadowej, którzy szczycić się mogli przyjaźnią, najzażylszą przez jakiś czas, z Mickiewiczem i Słowackim równocześnie!

Dla nas zaś ma ów Januszkiewicz wartość nieocenioną jako informator wzorowy, objaśnił był wszakże niejeden z zawiłych a ważnych incydentów życia emigracyjnego. Listopisarz świetny, bo i prosty w wyrazie i żywy; odznacza go lakoniczna jakaś dostojność tonu, brak sztucznego patosu; nie zaraził się też od Mistrza mętną zawiłością wykładu, choć został towiańczykiem. Dochował się po Eustachym Januszkiewiczu prowadzony przez wiele lat dziennik zdarzeń emigracyjnych, jeszcze w całości nieujawniony. Wogóle puścizna po tym człowieku dzieli się na dwie zasadnicze grupy: *a*) jeszcze nie czas, *b*) już nie czas. Przekazów z grupy *a* ogłosić nie można, bo już dawno poszły z dymem, przekazy z grupy *b* pozostają jeszcze, z nieznanych przyczyn, pod kluczem. Dość powiedzieć, że gdyby można ogłosić pewien raport brata Eustachego, sprawa satanissy Ksawery Deybel byłaby wyjaśniona.

Trafem, z okazji innych poszukiwań, wpadł mi w rękę ciekawy list Januszkiewicza pisany do pułk. Mikołaja Kamieńskiego. Ów Kamieński, znany towiańczyk, był jedną z czołowych postaci w krótkich dziejach Legjonu włoskiego z r. 1848. Świetny oficer zawodowy, zdobył szybko w kampanji listopadowej szlify podpułkownika i komendanta 7-go pułku ułanów. W historji towianizmu znany jest jako autor *Odezwy do braci Polaków* (16 lutego 1845), w której założył głośny i pełen następstw protest przeciw rusofilstwu Mistrza Andrzeja. Jakim ten doskonały oficer linjowy był żołnierzem werbunkowym dla „armji ludów“ marzonej we Florencji przez Mickiewicza, nie umiem powiedzieć. Wiadomo, że poeta, admirując zrazu pułkownika niezmiernie, narzekał później w rozmowie z Biergelem: „Kamieński męczył mię jak kokietka różnemi fonframi i wymaganiami“. Wreszcie, gdy się nadzieje rozwiały, uważał Mickiewicz, że właśnie pułkownik z towarzyszami, nie kto inny, winien jest zaprzepaszczenia sprawy legjonu włoskiego, a tylko Karol Różycki byłby stanął na wysokości zadania.

W liście ogłoszonym poniżej mieści się pierwsze chyba wezwanie do brata Mikołaja o współpracę w organizacji. Brat Eustachy szle mu je w imieniu brata Adama. Jest pod świeżem wrażeniem listu otrzymanego wczoraj z Florencji od Mickiewicza z relacją o wyjściu zastępu polskiego z Rzymu. Tego listu nie znamy. Wolno więc dosłuchiwać się w słowach Januszkiewicza echa tego, co pisał, co rozkazywał Mickiewicz po rozmowie z papieżem.

Posłuchajmy:

27 kwietnia 1848. Paryż.

Kochany bracie Mikołaju. Otrzymaliśmy wczoraj listy z Florencyi z 19. kwietnia od Adama i Gierycza, w których opisują wyjście zastępu polskiego z Rzymu 11-go kwietnia. Do katedry Św. Piotra kiedy szli Polacy z chorągwią swą, lud cały Rzymu szedł za nimi—Gierycz niósł chorągiew i stanął z nią u grobu Piotra św., natenczas Papież stanął u ołtarza i odnalezioną głową S. Andrzeja, jako apostoła Słowian, błogosławił i orszak i chorągiew. Po drodze z Rzymu lud, wojsko i księża wychodzili na spotkanie—we Florencyi jaka była uroczystość, tej opisanie jest w dodatku do dziennika *La Patria*, które w tłómaczeniu staramy się do dzien. franc. podać. W. Kżę zaprosił Adama do siebie—długo z nim rozmawiał,—nazajutrz przesłał ze swojej kassy pieniądze na pierwsze potrzeby oddziału—Chorągiew włoska i niemiecka towarzyszyły wejściu Polaków do Florencyi. Mów było bez miary—nareście Adam głos zabrał i o przeznaczeniach Polski, jej misyi dzisiejszej mówił, nareście wezwał, aby się udano do kościoła na podziękowanie Bogu—Lud rzucił się do najbliższego kościoła, wyparł drzwi prawie gwałtem i rozstąpił się na dwie połowy, aby dać miejsce *nobile pellegrino*. Adam padł na ziemię przed ołtarzem, za nim położyły się chorągwie i ich straże i po krótkiej pauzie podniósł się stojący obok Adama ks. Lambruschini i zaczął modlitwę prześliczną, wzywając błogosławieństwa i pomocy w tych dniach męczeństwa i boleści Chrystusowej dla narodów, co na wzór jego dziś cierpią—Kiedy skończył, Adam wyrzekł Amen a za nim cały lud w świątyni.

Adam 23 i 24 będzie w Bolonii, stamtąd odprowadzi oddział do Mediolanu, aby się rozmówić z Rządem miejscowym, i uda się do Szwajcaryi.

Dowódcą wojskowym tymczasowie jest Siodołkowicz. Adam wybrany i przez Ojca S. zatwierdzony—przewodnikiem Zastępu, który idzie do Sławiańszczyzny z błogosławieństwem naczelnika Chrystusowego.

Adam wzywa, aby wszyscy bracia, którzy chcą pospieszyli do Mediolanu, wyjąwszy Łęckiego i Wrotnowskiego. Adam chciałby, aby wszystkim spółtułaczom słownie komunikować akt naszej wiary i ci co się nań zgodzą, niech idą pod chorągiew naszą. Posyłam Ci, Mikołaju, kto przystanie szczerze, zrozumiawszy każdy punkt, i zgodzi się głosem żywym, bez podpisu, ten niech idzie za Tobą. Służalski dziś wyjechał, a reszta czeka tylko na Adama.

Eustachy Januszkiewicz

Trzeba ci wiedzieć, że Rząd niebardzo rad jest Polakom idącym do Włoch, to już dało się uczuć przy braniu paszportu przez Mich. Chodźkę.—Odmówili mu pomocy 2 miesięcznej, ale ponieważ odmawiają i drugim, idącym do Niemiec, to może i nie tak jest. To pewna, że Komitet włoski odmówił interwencyi francuskiej, powiadając, że sami Włosi sobie poradzą z pomocą bratnią, a dotąd im pamiętny despotyzm Republiki francuskiej. Tysiące jeńców jest w Lombardyi z krain Serbii, Illiryi, Dalmacyi,—z których zastęp, Legion, czy co zechcesz utworzysz—Nie napieraj tak bardzo—Ludzi dobrej woli, uczciwych, kochających Ciebie, znających wojskowość skłaniaj—Drogą żelazną do Bâle udajcie się—Kompania pewnie da bezpłatnie—a stamtąd małemi oddziałami i bez broni dojdziecie do miejsca przeznaczenia.

Zamoyski na swoje Conto tworzy Legion włoski—wysyłają oficerów do Marsylii i tam kadry będą się tworzyć—Breański jest na czele.

Michał Chodźko doniesie Ci jak tylko stanie w Mediolanie o drodze, którą jechał, jak znalazł Szwajcaryą i gdzie jest Adam.

Zewsząd listy i wiadomości dochodzą, że w Niemczech niema co robić. Legionu 1-a część co wyszła przed wami, osiadła we Frankfurcie—Inni siedzą w Kolonii, Minden, Brunświku. Gł. Dwernicki i wielu innych w Brombergu. Dwernicki spodziewa się, że się uwolni i pospieszy do Wiednia, to jest do Węgier—co bardzo byłoby dobrze.

Wiesz zapewne z Gazet, że Paskiewicz wezwał obywateli znakomitszych i pytał czego żądają, pragną od Cara, a że on jest bardzo ochoczy do dania—ci odpowiedzieli, że niczego nie pragną, nic im nie potrzeba,—po długich natarczywych pytaniach innej odpowiedzi nie otrzymał—wybrał tedy 4-ch i pod przewodnictwem Krasińskiego posłał do Petersburga, prosić o przywrócenie Król. Pol. jak było z dołączeniem Galicyi i Poznania. Co to za pokusa dla Kongresowej szlachty—Przyszło na to co Mistrz mówił: że Car Mikołaj sam dawać będzie Polskę, ale takiej Polski nie bierzmy. Poniatowscy dawali obiad dla zastępu, a sama ofiarowała chorągiew—Nasza chorągiew ma krzyż na czerwonem polu, a czerwony na białem, na wierzchu glob i na nim Orzeł Polski—Napisy znajome ci: *Zastęp pierwszy polski*—a z drugiej strony: *Słowiaństwo*.

Wczoraj bracia Francuzi chodzili do Rządu francuskiego—przyjął ich sekretarz S. Hilaire. Patrzał im w oczy, szukając czy wszyscy z jednaką wiarą przychodzą—oświadczył, że ich powaga i ton *sont au dehors du Gouvern.*, czy tak było nie wiem, bo to mi Giedroyć powtarza, co słyszał—wziął pisma, co mu złożyli i przyrzekł, że to wszystko co było w godzinnej rozmowie przedmiotem ich gadania, odniesie do Rządu Nar.

Plater Wład. przybył do Paryża i wzywa członków Sejmu, aby się do Frankfurtu zbierali. Powiedz to Nakwaskiemu—czujesz jak to śmieszne.

Żona Twoja nie wie jeszcze co z sobą pocznie. Najlepiej żeby w Paryżu została, a potem gdy dojdziemy do Krakowa, tam się udała—To moje zdanie.

Ja czekam Adama.—Przyślij mi jeżeli masz opis fety w Chalens.

Twój brat Eustachy.

*

Mikołaj Kamieński

Relacja powyższa daje nowy i dość szczegółowy obraz chwili, kilkakrotnie opisywanej przez współczesnych. Ale może nigdy z taką prostą żarliwością. Nie znajdując śladów tego listu w literaturze dotyczącej Mickiewicza w r. 1848, przypuszczam, że jest nieznany. Wobec fatalnego stanu bibljografji tematu niesposób jednak nie użyć trybu warunkowego.

Mam wszakże wrażenie, że do skrytki, w której krył się ten autograf, dawno nikt nie zaglądał. Kamieński, przejęty wagą poleceń, podkreślił różne miejsca to czerwonym to niebieskim ołówkiem. Później, w obawie przed cenzurą może pruską, zamazano słowa ostatnie: „twój brat Eustachy", poczem ołówkiem niebieskim znowuż dopisano pełne imię i nazwisko piszącego.

I nas dziś ogarnia wzruszenie. Jeżeli bowiem o wymiar podniosłego przeżycia chodzi, jedna tylko chwila w żywocie Mickiewicza mierzyć się mogła z rzymską wiosną. Ta, w której z Bogiem walczył w Dreźnie.

STANISŁAW WASYLEWSKI

SŁAWOMIR CZERWIŃSKI
O NOWY IDEAŁ WYCHOWAWCZY
II wydanie rozszerzone
Cena egzemplarza oprawnego Zł. 7.—
Do nabycia w Księgarniach.
SKŁAD GŁÓWNY
TOWARZYSTWO KULTURY I OŚWIATY
WARSZAWA, AL. RÓŻ Nr. 2.

O „ŁZY POTĘGI DRUGIEJ"

(WYSTAWA MICKIEWICZOWSKA W BIBLJOTECE NARODOWEJ)

19 stycznia została otwarta w gmachu Bibljoteki Narodowej na Krakowskiem Przedmieściu Wystawa Mickiewiczowska zorganizowana staraniem Bibljoteki Narodowej. Myśl urządzenia w Warszawie na czas dłuższy wystawy poświęconej życiu i całej twórczości Adama Mickiewicza powstała w roku ubiegłym w czasie Międzynarodowego Zjazdu Slawistów. Przedmowa do zwięzłego Przewodnika po wystawie wiąże tę manifestację z hołdem, który Warszawa złożyła poecie w 1898 r. w setną rocznicę urodzin i uznaje ją za pewnego rodzaju przedłużenie uroczystych zeszłorocznych obchodów stulecia *Pana Tadeusza*.

Trzy duże sale obejmują pamiątki z epoki Mickiewicza: autografy samego poety, jego przyjaciół, profesorów; wywód szlachecki, metryka chrztu, świadectwo szkolne, kilka pierwodruków jego dzieł, sztychy portretowe przyjaciół wileńskich, przyjaciół Moskali, przyjaciół Francuzów, adresy i odezwy emigracyjne, listy, sztambuchy, cenne rękopiśmienne materjały do epoki Collège de France i Towianizmu, gazety paryskie z artykułami o Mickiewiczu, dokumenty dotyczące Legjonu Włoskiego, *Trybuny Ludów* i pomniejszych prac emigracyjnych, aż do ostatniej misji na Wschodzie, do wybladłej fotografji pośmiertnej, na przygodnem łożu, w najgorszym domu przedmieścia Pery.

Sala 4-ta poświęcona jest *Panu Tadeuszowi* (poszczególne wydania, tłumaczenia, opracowania, ilustracje w przedmiotach i obrazach); dalsze sale to przegląd w porządku chronologicznym wiedzy o Mickiewiczu (biografje, monografje, pamiętniki, studja szczegółowe), podobizny poety, kult pośmiertny, ilustracje muzyczne do jego dzieł, wydania zbiorowe, bibljografje.

Na obecną wystawę złożyły się w pierwszym rzędzie zbiory Bibljoteki Narodowej, a mianowicie Zbiory Rapperswilskie, posiadające nieporównanie bogaty materjał źródłowy do lat spędzonych na emigracji: wykładów *Literatury Słowiańskiej*, epoki mistycznej, roku 48; kilka obrazów użyczyła Bibljoteka Krasińskich, rękopis *Grażyny* i *Sonety* w pięknej oprawie, z minjaturą Viviena (ongiś własność p. Joanny Zaleskiej) — Bibljoteka Przeździeckich; eksponaty z sali *Pana Tadeusza* (w dużej części), oraz eksponaty wiedzy o Mickiewiczu i kultu pośmiertnego pochodzą z bogatej prywatnej kolekcji p. Jana Michalskiego; ponadto dr. Poliński, p. Korotyński i p. Rychlewicz, prawnuk Maryli Puttkamerowej, dopełnili wystawę swemi zbiorami i prywatnemi pamiątkami.

W każdym nieomal człowieku tkwi kult do relikwij sławnych lub drogich zmarłych i ten właściwy fetyszyzm stanowi jeden z czynników atrakcyjnych tego rodzaju wystaw. Rękopisy wystawione pod szkłem są nam przeważnie znane z druku, inaczej wszakże aniżeli książka przemawiają te zżółkłe kartki pokryte nerwowem pismem, te podkreślenia i poprawki jego ręki... Inaczej wzrusza nas skrypt pierwszego wstępnego wykładu w Collège de France, z właściwą Mickiewiczowi, nieraz błędną, a z zasady korygowaną przez wydawców ortografją francuską, owa pamiętna przemowa, w której się tłumaczył przed publicznością z nieznajomości francuszczyzny, przyznawał do misji swojej i konieczności wypowiedzenia twórczego słowa, skrzesania iskry „zdolnej zapalić serca słuchaczy"... Albo list do generała Skrzyneckiego, w którym poeta wykładał założenia wiary swojej w Mistrza Andrzeja i świadczył, że przepowiedział emigracji przyjście człowieka, „który będzie *prawem żywem*, którego słowa, czyny i *gesta* będą artykułami". Możemy tu również obejrzeć rękopis *Składu Zasad* z 1848 r., datowany 20 marca, tydzień przed owem burzliwem zebraniem, gdzie się Mickiewicz starł z Norwidem o Władysława Zamoyskiego i sam stanął na czele symbolicznego Legjonu; tuż obok drukowane tłumaczenie *Składu Zasad* w języku francuskim p. t. *Principes des Croisés Polonais*. Dalsze papiery to korespondencja Mickiewicza na arkuszach opatrzonych orłem polskim, przez któregoś z ochotników-artystów piórkiem rysowanym, z napisem *Légion Polonaise, Conducteur en Chef* albo ze swoistym nagłówkiem: *Zastęp I-szy Polski — Słowiaństwo — Przewodnik Naczelny*; pismo Mickiewicza do Rządu Tymczasowego Lombardji z 3-go maja 1848 r., stan Legji Polskiej z czerwca i lipca, rozkaz dzienny pułk. Siodolkowicza z sierpnia i t. d. Tych kilka dokumentów stawia nam przed oczami fantastyczny pochód poety na czele zastępu złożonego z 12 ludzi z owym sztandarem, dla którego błogosławieństwo wydarł poeta papieżowi nieomal siłą, i obraz tych przemówień natchnionych, wygłaszanych w miastach Lombardji o „tysiącach Słowian", którzy powstaną na wieść o wojn'e za wolność ludów, na wieść o zaczątku polskich zbrojnych zastępów... Ogarnia nas atmosfera wiary żarliwej, cudotwórczej i woli tragicznej, z jaką Mickiewicz dążył do Jerozolimy swego ducha i Boga Wolności, który „przebywa w bluzach ludu paryskiego".

A obok tych ważkich poczynań, zabiegów około formacji zbrojnej, redakcji *Try-*

Z POEZYJ KAROLINY MEW

CICHY DOM

Nasza piastunka chciała zawsze być za świadka,
że nasz dom przypominał licytacji halę
lub jarmark, zanim poszła spać cała gromada.
Ale teraz jest cichy, jak wieś na uboczu,
odkąd Jane i Ted zmarli, potem zmarła Matka,
Tom pokłócił się z ojcem i przepadł nam z oczu.
Biedny mój ojciec głowy nie podnosi wcale
od owego procesu i z nikim nie gada,
nie gości, nie odwiedza żadnego sąsiada.

Ten mój wyjazd do ciotki, przed rokiem, niepewny
był, choć tylko na dwa dni, do ostatniej chwili —
(odtąd jest zawsze przy mnie, w domu czy na dworze).
Z początku nie podobał mi się mojej krewnej
znajomy; nie myślałam, że utkwi w pamięci;
głos przebrzmiał, twarz zaciera się i nie wiem, czyli
gdy myślę o nim, myślę z chęcią czy wbrew chęci.
Nim się uśmiechnął, wzbudził we mnie dreszcze
trwogi; nie pytał się nawet, czy może —
lecz rzekł: przyjdę w niedzielę którą, o wieczornej porze —
mówił do mnie, jakgdybym była dzieckiem jeszcze.

Ten rok ostatni nie był podobny żadnemu.
Jeżeli to jest prawda, co ojciec natrąca,
jeśli t a k jest, to wszystko mi jest jedno, czemu.
Ale wszystko paliło się, choć nie do końca.
Kolory świata były jak płomienie,
a zwykłe nieba ołowiane cienie
były jak złoto lub błękit oddali.
Człowiek umiera, kiedy się do cna przepali.

Jak dziwnie czerwień męczy:
listki drzew, z pęków świeżo przez wiosnę puszczone —
lecz róże lata gorsze są niż one,
tem okrutniejsze, że ich woń tak słodka;
poprzez ulicę umie taka róża wiotka
jak nożem ugodzić skrycie.
A purpura, jak upiór, wszędzie — zawsze — dręczy:
cienkie słoneczne strzały, jak duchy mieczów czerwone,
ślizgały się po schodach, stopniach i poręczy,
jakgdyby, schodząc z nich, z krwią oddawało się życie.

Ma dusza zda mi się czerwona
jak dusza miecza lub szkarłatny kwiat.
Lecz kiedy jedno lub drugie z nich kona,
przeżyły pełny dzień i pełny świat.

Ja też je przeżyję do syta,
bo od głów do stóp
przepalona jestem i przebita,
a ból słodki, chociaż wiedzie w grób.

Ta rzecz, co nas kiedyś zabije,
o tej śmierć, ja nie wiem, czy wie;
bo to, co zabija nas, żyje
jedynie w naszym śnie.

Ten pokój jest zamknięty, gdzie umarła Matka;
w innych pokojach wszystko jest, jak przedtem było.
Powierzchnia życia zewnątrz jest tak samo gładka:
wróble tak samo wkoło kręcą się po skwerze,
dzieci się bawią, gdzie się czworo nas goniło,
drzewa zieleń na wiosnę, jak zawsze, okrywa,
potem szarzeją, potem wiatr z nich liście zrywa —
blask słońca na kościelną pada martwą wieżę.
Ogień w kominku to jest jedyna rzecz żywa,
podczas gdy ojciec patrzy, w fotel zasunięty,
jak dni za dniami lecą
wszystkie szare, niektóre tylko szarsze nieco,
aż każdy z nich, jak włos jego — kręty
niegdyś, jak Matka mówiła, w puklach jasnych cały —
jak ten włos, stanie się biały.

Dziś wieczór znów słyszałam dzwony;
okna owiewał deszczyk w mgiełkę rozpylony;
w długiej mrocznej ulicy biegną lampy świeżo zapalane.
Żadna nie świeci dla mnie. Kiedy patrzę na nie,
zda mi się, że podążam na własne spotkanie.
Wszystko mi jedno; kiedyś przestanę m y ś l e ć; b y ć przestanę.

Przełożył *ANDRZEJ TRETIAK*

Charlotte Mew (1869—1928) należy do najwybitniejszych poetów pierwszego ćwierćwiecza XX wieku. Ciężkie warunki życia, towarzyszące jej od wczesnej młodości, wywołały z biegiem lat melancholję, która była przyczyną jej samobójczej śmierci. Pozostawiła po sobie zaledwie 60 utworów, dłuższych i krótszych, o swoistej budowie. Tematem utworów jest prawie zawsze chwila uświadomienia sobie decydującego działania instynktu, lub wogóle uświadomienia sobie pewnej nieodwołalnej a zmieniającej linję życia decyzji, powziętej przedtem nieświadomie. Za życia wyszedł tomik *The Farmer's Bride* (1916), po śmierci drugi: *The Rambling Sailor* (1929). W drukowanym tu utworze przedostatni wiersz odnosi się do angielskiego wierzenia, że ujrzenie samego siebie naprzeciwko zwiastuje bliską śmierć.

A. T.

buny Ludów, wystąpień politycznych, pracy apostolskiej nie odmawiał poeta udziału w pracach emigracyjnych dnia powszedniego. Spotykamy na wystawie zaproszenia z jego podpisem na nabożeństwo żałobne za dusze Niemcewicza i Kniaziewicza, na obiad imieninowy na cześć ks. Adama Czartoryskiego (Palais Royal, Maison Véfour 1852 r.), na posiedzenia Wydziału Historycznego i t. d. Uwagę naszą zatrzymuje tu przemówienie wygłoszone przy rozdaniu nagród w Szkole Batignolskiej 14 sierpnia 1854... Szkoła liczyła wówczas 230 uczniów, poeta mówił im o trudnościach nauki na obczyźnie, o braku żywiołu ojczystego, „braku tego co niebo ojczyste daje, co z ziemi rodzimej wydobywa się, co starożytni nazywali *genius loci*, ducha miejscowego, tego niezliczonego grona przyjaciół, krewnych, tego co nam otwarło młodość naszą i co tak silnie pomagało nam w życiu przyszłem"... i mimo że pismo jest obce, poznajemy w tych słowach Mickiewicza z całą nieomylnością, poznajemy go „po głosie", jakim mówi o utraconej ojczyźnie.

W nauce o Mickiewiczu—czytamy w przedmowie do Przewodnika—w kulcie dla jego dzieł i postaci dokonywa się w naszych oczach przemiana. Jesteśmy świadkami renesansu Mickiewiczowskiego, wywołanego potrzebami nowej epoki i dostosowanego do nowych form życia narodu we własnem państwie.

Że dopełnia się w tej dziedzinie jakaś przemiana, zdaje się nie ulegać kwestji, ale mówić dziś o renesansie — czy to nie przedwcześnie? Czy raczej nie będziemy bliżej prawdy, stwierdzając bez uprzedzeń, że w społeczeństwie naszem istnieje dziś duże zobojętnienie dla Mickiewicza i niechęć do prac krytycznych na temat jego osoby i twórczości? Nie mam tu oczywiście na myśli kilku specjalistów, ani warstw narodu intelektualnie jeszcze nie uświadomionych, ale szerokie sfery inteligencji, sól ziemi naszej. Zobojętnienie to, które nastąpiło po odzyskaniu niepodległości, nie ogarnęło przytem wyłącznie starszego, przedwojennego pokolenia. Wśród młodzieży nie jest lepiej; świadczą o tem liczne pisma młodych, z różnych partyj i ugrupowań, w których o Mickiewiczu głucho. Tak jakby najbardziej aktualne zagadnienia narodowe, społeczne, religijne, państwowe, nie stanowiły osi, koło której krążyła genjalna myśl poety, dla których płonęło jego serce i wytężały się mięśnie aż do ostatniej chwili życia.

Czyżby dla Polski Niepodległej nie było już skarbów w tej skarbnicy, ani iskier w tym płomieniu, iskier „zdolnych zapalić serca słuchaczy"? Czyżby nie przemawiały do współczesnej młodzieży jego czynny entuzjazm i wola twórcza, z jaką usiłował przebudowywać świat i ludzi?

Norwid był przez wiele lat przemilczany i ignorowany za „twardość" mowy, ale milczenie mniej jest niebezpieczne, a zwłaszcza mniej krzywdzące, od „przegadania", jakiemu uległ Mickiewicz. I mimowoli nasuwają się pamięci Norwidowe słowa:

Więc mniejsza o to, w jakiej spoczniesz urnie—
Gdzie? Kiedy? w jakim sensie i obliczu?
Bo grób twój jeszcze odemkną powtórnie,
Inaczej będą głosić twe zasługi
I łez wylanych dziś będą się wstydzić,
A lać ci będą łzy *potęgi drugiej*
Ci, co człowiekiem nie mogli cię widzieć.

Czyżby dziś spełniało się może proroctwo Norwidowe wypowiedziane nazajutrz po śmierci Mickiewicza? Czy nie stoimy obecnie na przełomie tych dwu potęg? Czy nam dziś nie wstyd obumarłych tradycyj kultu, pięknobrzmiących frazesów i łez wczorajszych? A może owo oddalenie jest naturalną reakcją sumienia społecznego wobec grzechu wieloletniego wygrywania imienia poety i jego nieporównanego autorytetu dla spraw partyjnych, dorywczych, dla prywatnych nieomal intryg?

Podobnie jak widmo Reytana „co strzegło progu każdej polskiej spiżarni i każdej narodowej alkowy" *(Legenda Młodej Polski)* i stanowiło niemą odpowiedź na zarzuty lekkomyślności i próżniactwo, widmo Mickiewicza osłaniało również naszej bezmyślności nędzę. Dzięki swej niebywałej popularności przeniknął on nasze życie codzienne aż do zupełnego i tragicznego spowszednienia na pudełkach od zapałek, kałamarzach i guzikach. Każdy tradycyjny i zasiedziały dom polski mógłby od biedy urządzić małą wystawę Mickiewiczowską złożoną z portretów, oleodruków lub sztychów, gratów codziennego użytku, opatrzonych jego podobizną, i „reprezentacyjnych" wydawnictw *Pana Tadeusza* lub *Konrada Wallenroda*, zdobnych w manieryczne ilustracje Andriollego...

„W programach szkolnych miejsce poświęcone Mickiewiczowi ma być znacznie ograniczone, — zakomunikował mi jeden z organizatorów wystawy. — Jeżeli więc mamy grzebać Mickiewicza, to niech ma chociaż uroczysty pogrzeb!"

Niechaj więc będzie pogrzeb, ale pogrzeb tej pierwszej potęgi, po której nastąpi zmartwychwstanie w nowej postaci, dla nowej Polski. Wtedy to z nieśmiertelnego oblicza musi opaść maska szkolnej rutyny, fałszowanej nauki i zakurzonej codzienności.

Wracając do obecnej wystawy, należy jeszcze pokrótce rozważyć jej koncepcję i metodę realizacji.

Jak nas informuje cytowane uprzednio słowo wstępne z Przewodnika, organizatorzy wystawy chcieli „uplastycznić wielką rolę Mickiewicza w życiu Polski, przedstawić ją w książkach, broszurach, rękopisach i sztychach".

Dla badaczy Mickiewicza, a zwłaszcza dla nielicznych ale wiernych jego wyznawców, wystawa obecna jest bardzo cenna, o ile zaś chodziło organizatorom o młodzież szkolną i o „laików", to większy nacisk na stronę plastyczną byłby zdaje się bardziej wskazany; może należało też wyzyskać rzeczy nowe, mało lub całkiem nieznane, aby zaostrzyć ciekawość, podniecić sprawność pamięci? Zbyt szczupły zdaje mi się dział ikonografji, ilustrujący miejsca, w których poeta przebywał; obfite zbiory p. Michalskiego, częściowo tylko wyzyskane, można było dopełnić sztychami, któreby zobrazowały ówczesny Petersburg, Rzym, Paryż, — zwłaszcza ten ostatni, w którym poeta spędził dwadzieścia lat swego życia, przykuty do „znienawidzonych bruków", przerzucany z jednego krańca w drugi nielitościwej, zawsze obcej mu stolicy: rue Richelieu, Carrefour de l'Observatoire, Batignolles, Val de Grâce, Arsenał i miejsca gdzie spędzał krótkie letnie wywczasy: Bellevue (korekty *Pana Tadeusza)*, Nanterre (Towianizm), Fontainebleau (ostatnie lata) i t. d.

Może słuszniej było zamiast eksponatów świadczących jedynie swą ilością o popularności poety, zamiast znanych i arcyznanych (zwłaszcza po stuleciu *Pana Tadeusza)* portretów, fantazyj portretowych, ich kopij i naśladownictw wyzyskać naprzykład widoki Wilna Józefa Peszki, reprodukowane po raz pierwszy w *Kurjerze Wileńskim* z 24 grudnia ub. r., albo szkicowniki Damela, ze zbiorów Łohojskich Konstantego Tyszkiewicza (dziś własność Tow. Opieki nad Zabytkami w Warszawie), z których jeden poświęcony jest szkicom portretowym szkoły wileńskiej i zawiera, między innemi, nieznany portret Tomasza Zana z 1824 r.?

Obok autentycznych nowogródzkich cymbałów, do których uśmiechnie się życzliwie każdy zwiedzający wystawę, przy pomysłowej rekonstrukcji bibljoteczki Wojskiego mógł również znaleźć miejsce instrument rzadki, współczesny Mickiewiczowi i dwakroć przez niego wspominany (*Pan Tadeusz* ks. VIII i w *Improwizacji*) — „harmonika szklana". Zbiory Towarzystwa Muzycznego w Warszawie posiadają jeden okaz takiej harmoniki w kształcie niedużego biurka; różnokolorowe, dla odróżnienia tonu, klosze szklane, osadzone na jednej osi pocierał muzyk zwilżonemi palcami. Pojęcie abstrakcyjne stałoby się konkretne, a porównania, związane z „kręceniem gwiazd" i grającym kręgiem owadów — dwakroć pamiętne.

Może pomysłowe skróty wykresów wedle lat, autorów i poszczególnych dzieł Mickiewicza uwidoczniłyby nam bardziej plastycznie „wiedzę o Mickiewiczu", aniżeli setki książek rozłożonych pod szkłem i otwartych na karcie tytułowej?

Łatwo projektować ulepszenia, gdy rzecz już jest dokonana, i kiedy się nadto nie zna trudności jej realizacji, to też uwagi, któremi kończę niniejsze sprawozdanie, nie powinny ujmować wartości obecnej wystawie Mickiewiczowskiej, są to jedynie warunkowo dopełniające refleksje kogoś, kto spędził na wystawie wiele godzin i wyszedł z niej bogatszy.

MARJA CZAPSKA

POLECAMY NA 19 MARCA

	zł.
Kisielewski Z. DNI LISTOPADOWE. Powieść z 1918 roku. (Powrót Komendanta Piłsudskiego z Magdeburga. Rozbrojenie Niemców). Str. 302.	6.60
Sieroszewski Wacław. MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI. Życiorys z 4-ma ryc.	1.80
Zawiszanka Z. ŚWIT WIELKIEGO DNIA. Dzieciństwo Marszałka Piłsudskiego. Powieść dla młodzieży, z ryc. St. Norblina. 8.50, w opr. kart.	9.50

Wszelkie wydawnictwa o Marszałku J. Piłsudskim i odzyskaniu Niepodległości posiada stale na składzie

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ, Sp. Akc.

Warszawa, Plac Trzech Krzyży 8.

Z „LE COEUR INNOMBRABLE" ANNY DE NOAILLES

DO NATURY

O Ty, na której sercu strop niebiosów wielki
Spoczywa! — Zali kiedy kto tak umiłuje
Jak ja, światło dni twoich, słodycz rzeczy wszelkich,
Wodę lśniącą i glebę, gdzie życie kiełkuje?!

Bardziej od spojrzeń ludzkich me oczy rozwarte
Wzruszały Twoje lasy, jeziora i błonia...
— Trwałam, o piękność świata miłośnie oparta,
Wonie wszystkich pór roku trzymając w swych dłoniach.

Nosiłam Twoje słońca, jak wieniec z promieni
Na mojem czole, pełnem dumy i prostoty.
Gry moje pracom były podobne jesieni
I szlochałam z miłości w ramionach lat złotych...

Przyszłam do Ciebie ufnie jak dziecko i śmiało,
Rację Ci w złem i dobrem przyznając na ślepo,
Mając za całe szczęście i za mądrość całą
Twojej duszy zwierzęcej niepojęty przepych.

Niby kwiat miodny, w którym pszczoły się panoszą,
Życie me rozlewało zapachy i pieśni...
Podałam Ci swe serce jak wieśniaczy koszyk,
Pełen bujnego bluszczu i gałązek leśnych.

Jak fala, której drzewo swój obraz powierza,
Odbijałam tęsknoty, co w twych nocach płoną
I tlą się żarem w sercu człowieka i zwierząt,
Budząc słodki niepokój i żądzę stłumioną.

— Oto Cię trzymam w moich ramionach drgającą
I złorzeczę tej chwili, kiedy wzrok mój zgaśnie
I pójdę w kraj, gdzie żaden wiatr liści nie trąca,
Którego słońce ani miłość nie rozjaśnia...

Przełożyła *HENRYKA ŁAZOWERTÓWNA*

Z POEZYJ MARCELINY DESBORDES-VALMORE

DOLINA

Już nie ujrzę cię więcej, prześliczna dolino,
Którą szliśmy, pamiętasz? tego dnia samotnie,
Gdzie woda wody szuka, pośród kwiatów płynąc
Aż znajdzie ją i złączy się z nią bezpowrotnie.
Wszystko mówiło, zda się, do duszy w zachwycie —
Ach, ostatnie promienie złote dnia i życia
W oczach moich swą tęskność wieczną rozpostarły,
Zanim w sercu mem jeszcze na zawsze umarły.

A jednak nie ta sama zieleń to i woda
Szemrząca pośród młodych trzcin i tataraków,
Ani ciemny cień lasów, cień ów, gdzie przyroda
Jednoczy swą harmonję z słodkim śpiewem ptaków.
Nie, to nie kolor nieba, ten błękit uroczy,
Ani fala błyszcząca, której moje oczy
Nie mogły znieść migotu ani złota piasku,
Że drżę cała, gdy wspomnę dziś o jego blasku.

Tyś to był, o mój miły, coś jest światem moim
Kochający mnie, młody i szczęścia niesyty,
To wzrok twój czysty, który kładł się blaskiem swoim
Na dzień nasz najpiękniejszy w oczach twych odbity.
Chcesz, by wrócił? Pójdź ze mną w jego ciche cienie
Zdala od miast ponurych i od zgiełku świata...
Jak dwie wody połączą się ukryte w kwiatach
Twoja i moja miłość — w jedno przeznaczenie.

*

NADZIEJA

Takbym chciała kochać inaczej,
Ach, niestety, pragnę być szczęśliwą —
Dla mnie miłość — tylko mękę znaczy,
Czułość serca boli mnie żywo.
Ach, jak bardzo pragnę być szczęśliwą,
Inną stać się i kochać inaczej!

Ciągle mówisz, że się jeszcze zmienię...
Mam nadzieję. Może mi się uda.
Niechby miłość w sercu mem ochłódła,
Wtedy umrę i stanę się cieniem.
Jeśli śmierć potrafi sprawiać cuda,
Prawdę mówisz: wtedy się odmienię.

Przełożyła *IRENA TUWIM*

BOLESŁAW LIMANOWSKI
O RUCHU REGJONALISTYCZNYM WE FRANCJI

W roku 1904, w redakcji założonego przez Stanisława Stempowskiego *Ogniwa*, tygodnika „Czerwonej Warszawy", przygotowywano książkę zbiorową p. t. *Myśl*, na korzyść powodzian „z ostatniej klęski wylewu Wisły".

Do książki tej nadesłał Bolesław Limanowski z Paryża artykuł „o ruchu regjonalistycznym we Francji". Limanowski, bardzo zawsze wrażliwy na aktualne zagadnienia organizacji życia zbiorowego na Zachodzie, rozpatrywał je jednak ostrożnie i wyłuskiwał z nich jedynie zdrowe ziarna. Rzecz zaś była nowa i na gruncie polskim prawie nieznana.

I we Francji właściwie popularności zbyt wielkiej ideologja „regjonalistyczna" jeszcze nie posiadała, choć Prowansalczycy z Fr. Mistralem na czele, a po nich Bretończycy rozwinęli inicjatywę wielostronną i pełną bojowego impetu. *Nom de guerre* — regjonalizm podsunął w r. 1874 poeta prowansalski Leon de Berluc-Pérussis, ale usankcjonował go dopiero założony w r. 1898: Związek Regjonalny Bretoński, a osobliwie od r. 1900 Federacja Regjonalistyczna Francuska.

Federacja kształtowała w tym czasie zasady programowe, obejmujące dziedziny: administracji, życia gospodarczego i umysłowego. Natomiast założenia ideowe były już ustalone. Pisze o nich Bolesław Limanowski: „rozmaitość w jedności, oczywiście dobrowolnej, nieprzymusowej,— oto hasło propagandy regjonalistycznej, która dąży do podniesienia życia prowincjonalnego, do wytworzenia silnych podstaw do samorządu, do uznania prawowitości odmian, które skutkiem różnicy rasowej, dziejowej i ekonomicznej, wytworzyły się w rozmaitych prowincjach kraju".

Ruch regjonalistyczny skupił ludzi różnych przekonań. „Wszystkie stronnictwa mają tam swoich przedstawicieli". Regjonaliści domagają się „nowego podziału terytorjalnego. Liczba departamentów — powiadają — jest nader wielka... Pomimo przeszło stuletniego istnienia podziału dzisiejszego, w narodzie trwa żywa tradycja dawnych prowincyj, które z małemi wyjątkami ułożyły się były w naturalnych granicach, i organizacje żywotne, wychodzące z łona narodu, nie trzymają się granic departamentalnych, lecz wchodzą w związek z sobą podług tych obszarów, które nawyknienia długotrwałe i wspólne potrzeby były wytworzyły... Zamiast dzisiejszych 87 departamentów wystarczy 20... Liczbę gmin (36.000) należy także zmniejszyć, albowiem dzisiejsze są za małe i za słabe, ażeby zdołały same się rządzić w obszerniejszym zakresie. Następnie trzeba podnieść znaczenie Rad departamentalnych i gminnych i rozszerzyć pole ich działania. Zbuduje to podstawę rzetelnego samorządu. Stolice departamentów, uposażone w wyższe szkoły, muzea, bibljoteki, teatry, staną się ważnemi ogniskami umysłowości, które zniweczą szkodliwy wpływ ujednostajniającego zwierzchnictwa Paryża, a natomiast przyczynią się, wzmagając tętno życia prowincjonalnego, do uwydatnienia w życiu narodowem wielu nowych cech oryginalnych".

Jako „cenzuralną" zapowiedź walki naszej o język ojczysty w szkołach, która w rok później wybuchnąć miała, podaje Bolesław Limanowski: „w ustroju demokratycznym niepodobna nie uwzględniać odmiennych właściwości ludu, jego nawyknień i pragnień. Jeżeli ludność domaga się, jak się to dzieje w Bretanji i we Francji południowej, ażeby w szkołach ludowych uczono jej dzieci w tym języku, którym posługuje się codziennie, to opierać się temu nie jest rzeczą sprawiedliwą. Nietylko bowiem żądanie to jest naturalnym wynikiem zasady demokratycznej, ale także w zupełności odpowiada wymaganiom pedagogiki racjonalnej. Nauka podawana w mało zrozumianym przez dziecko języku, przyzwyczaja je do mechanicznego uczenia się, a skutkiem tego nie wywiera swego wpływu ożywczego na rozwój umysłu...".

I ekonomicznie... „syndykaty robotnicze łączą się z sobą w związki, przekraczają granice departamentów i tworzą federacje regjonalne, odpowiadające właściwym ich interesom".

„Niezaprzeczenie największe korzyści centralizacja przedstawia widokom militarnym". A jednak w r. 1870 „skoro wróg blokadą zamknął Paryż dokoła, Francja już nie istniała".

Książka zbiorowa *Myśl* ukazała się bez artykułu Bolesława Limanowskiego. Został w całości skreślony przez cenzurę warszawską. Wydrukował go *Tydzień* (Nr. 23 z 5.VI. 1904), dodatek literacko-naukowy *Kurjera Lwowskiego*[1].

AL. PATKOWSKI

[1] Na artykuł zwrócił mi uwagę i wycinek nadesłał p. Juljusz Zborowski, dyr. Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem.

EX LIBRIS
(IMPRESJE KRYTYCZNE)

Nie można narzekać na brak materjału czytelniczego. Owszem, jest go bardzo dużo. Pomijając nawet całkowicie literaturę przekładową, o której mam zamiar napisać osobno, samej polskiej produkcji powieściowej jest taka obfitość, że tylko o nieznacznej jej cząstce uda mi się dziś pokrótce poinformować zainteresowanych czytelników.

Mam przed sobą osiem tomów; z tych pięć napisanych przez pióra kobiece. (Nawiasem warto może zauważyć, że ten stosunek piór męskich do kobiecych, mianowicie 3 do 5, nie jest tylko przypadkowym stosunkiem dzisiejszego artykułu, lecz bodaj dość ściśle wyraża ogólny udział obojga płci w obecnej naszej twórczości powieściowej.) Żaden z tych utworów nie jest oznaczony nazwiskiem, któreby przedostało się do pierwszego rzędu współczesnych pisarzy polskich, a nawet dwie powieści pochodzą od debiutantek. Niema tu również ani jednego arcydzieła. A jednak każda powieść z dzisiejszej ósemki ma wiele różnorodnych, czasem dosyć wysokich zalet literackich, i o każdej z czystem sumieniem mogę powiedzieć, że warta jest przeczytania.

Zacznę od pań. Tutaj przedewszystkiem chciałbym w kilku zdaniach przypomnieć wydaną już przed paru miesiącami wyjątkowo interesującą powieść Wandy Dobaczewskiej p. t. *Zwycięstwo Józefa Żołądzia* (Wilno 1934; J. Zawadzki). Jest to bardzo subtelnie i z dojrzałym artyzmem przeprowadzone studjum karjerowicza politycznego. Mowa tu o karjerowiczu raczej drobnym—linja jego karjery biegnie od warsztatu szewca w Limanowej, gdzie bohater się rodzi, do pałacu kresowej arystokratki polskiej, z którą w końcu się żeni; etapami jest udział w legjonowej służbie wojskowej, a następnie działalność państwowo-społeczno-narodowa na terenie wschodnich województw Polski. Psychologiczny portret tego arrywisty i dość skomplikowanego chama jest wycieniowany z niepospolitą pewnością ręki. Co głównie tu zachwyca, to nadzwyczajny, nigdzie ani na moment nie zachwiany objektywizm autorki. Ani odrobiny tendencji, uprzedzenia czy złośliwości autorskiej. Cały sens powieści przemawia wyłącznie z przedstawionych faktów, bez jakichkolwiek komentarzy, bez cienia rezonerstwa. Dodatkową wartością utworu i niemałym jego wdziękiem jest tło, na którem umieszczony jest ten zajmujący portret Józefa Żołądzia, mianowicie dzisiejsza wieś białoruska w wileńszczyźnie czy nowogródczyźnie— ze wszystkiemi jej cechami i zagadnieniami społecznemi i narodowemi. Zrobione jest to z autentyczną znajomością rzeczy, tchnie świeżością ujęcia i darem niepowierzchownej obserwacji. Kompozycja przemyślana dokładnie i w licznych szczegółach prawie zawsze celowa. Po tej powieści trzeba będzie zwrócić bardzo pilną uwagę na dalszą twórczość Wandy Dobaczewskiej.

Najświeższą nowością księgarską jest powieść Izabelli Lutosławskiej *Małżeństwo Zazy* (Poznań; Księgarnia Św. Wojciecha). Jest to dalszy ciąg bardzo popularnej przed dwoma laty *Córki*. Tutaj mamy opowiedziane losy panny Zazy Barskiej po jej katastrofie z narzeczonym Zbigniewem Bobrowskim. O ile w *Córce* było tylko postawienie ciekawego problematu psychologicznego i społecznego,—postawienie trochę zanadto schematycznie, przypominające raczej jakiś plan architektoniczny,—o tyle w nowym utworze mamy żywy rysunek, wykonany z artyzmem, którego subtelność często interesuje i zastanawia. Portret wspaniałej egoistki, zarysowany w pierwszej powieści, tutaj został znacznie pogłębiony i udoskonalony. Poza główną, tytułową bohaterką, i inne postaci występują tu w żywszych i pełniejszych zarysach, zwłaszcza matka Zazy. Rozwój losów panny Barskiej, jej brzydkie małżeństwo z genjalnym i czasem bardzo sympatycznym „Hochstaplerem", tragicznie zukończony romans z dyplomatą hiszpańskim, doświadczenia związane ze śmiercią matki i męża, sensacyjne odkrycie po katastrofalnej śmierci tegoż męża, spotkanie z ukochanym Zbigniewem i perspektywa wznowienia pierwszej i jedynej wielkiej miłości, pogłębionej i oczyszczonej teraz równie wielkiem cierpieniem—wszystko to zostało przedstawione z przekonywającą logiką psychologiczną i konstrukcyjną. W kompozycji, to jest w samej technice opowiadania i dramatyzowania zdarzeń, są jeszcze pewne niedociągnięcia i niedomyślenia, zato sam styl pisarski, zwłaszcza trafność i wybredność porównań i metafor, udało się autorce w tym nowym utworze znacznie udoskonalić. Większe zwrócenie uwagi na zagadnienia kompozycyjne mogłoby p. Lutosławskiej walnie pomóc do zdobycia wyższej, może już pierwszoplanowej rangi pisarskiej.

Ciekawe zagadnienie charakterologiczne i społeczne stara się przedstawić Halina Marja Dąbrowolska w powieści *Praca i miłość*. (Warszawa 1934; TowarzystwoWydawnicze „Rój"). Chodzi tu o rzeczy wielkie: ni mniej ni więcej, tylko o zdobycie, o wytworzenie w sobie takich wartości psychicznych i moralnych, które zazwyczaj określa się mianem świętości. Przypomina mi to jedną z powieści Jerzego Duhamela (z cyklu o Salavinie). Tam bohater wprost powiada, że obiera sobie karjerę świętego. O ile pamiętam, próba ta nie nadzwyczajnie się powiodła Duhamelowi. Trudno również mówić o całkowitem powodzeniu próby pani Dąbrowolskiej. Jej bohaterka dosyć często irytuje zamiast wzruszać; często też bywa postacią raczej groteskową. W zarysowanej linji losu Klementyny Moromańskiej: osamotnienie rodzinne, zdeklasowanie, ubóstwo materjalne, praca w okropnej kancelarji prowincjonalnego sądu — niema śmieszności, oczywiście. Ale charakter bohaterki śmieszy, a nieraz rewoltuje: zanadto jest niedołężna, bezambitna, rozlazła, pozbawiona wdzięku. Trudno potem uwierzyć w jej nagłe powodzenie miłosne, z którego rezygnuje w sposób bohaterski, zdobywając tem pierwszy ważny stopień do osiągnięcia owej zamierzonej „świętości". Sam plan, a raczej pomysł dzieła: stworzenie i ukazanie charakteru bohaterki, która—mówiąc słowami powieści—„nigdy nie potrafiła przyjąć życia, jakie jest: zawsze musiała je zmienić na materjał, z którego budowała wartość swojej duszy"—świadczy jak najlepiej o ambicjach autorki. W pewnych partjach został nawet ten plan dosyć zajmująco opracowany; w całości jest jednak za dużo niekonsekwencyj, wynikających głównie z niezdecydowanego stosunku autorki do bohaterki: czasem trudno się zdecydować na sąd o tem, kogo autorka miała na myśli: niedołęgę czy świętą? a to jest przecież różnica kapitalna. Z tem wszystkiem powieść pani Dąbrowolskiej jest lekturą inteligentną i bardzo zajmującą.

Debiutem powieściopisarskim jest utwór Antoniny Sokolicz p. t. *Cysarskie cięcie*, powieść społeczna z lat przełomowych 1863—69 (Warszawa 1934; Towarzystwo Wydawnicze „Rój"). Autorka w podtytule zaznacza odrazu społeczny charakter utworu. I rzeczywiście, trudno to nazwać powieścią historyczną w znaczeniu artystycznej ewokacji przeszłości. Autorka, może za przykładem powieści *Kordjan i cham* Leona Kruczkowskiego, gdzie chodziło o ukazanie społecznej, klasowej strony powstania listopadowego, probuje dokonać podobnej rewizji na tematach powstania r. 1863. Powieść musi jednak działać suggestją artystyczną — wszystko jedno w jakim kierunku i na jakiem podłożu ideologicznem. Otóż w tym utworze, jeżeli chodzi o ideologję, to sprawa jest jasna i jednoznaczna: kto podziela zapatrywania społeczne autorki, będzie po jej stronie; natomiast nikogo autorka nie przekona swoją wizją spraw i ludzi roku 63. Rzecz warta dyskusji na gruncie ideologicznym, ale artystycznie zbyt prymitywna.

Bez porównania lżejszy charakter ma drugi debiut powieściopisarski: Haliny Auderskiej *Poczwarki Wielkiej Parady*, „pamiętnik maturzystki" (Warszawa 1935; Dom Książki Polskiej). Wielka Parada to przezwisko przełożonej pensji żeńskiej, a poczwarki to jej wychowanice. Pisane to jest żywo, naturalnie, często bardzo dowcipnie. Ostatni rok nauki gimnazjalnej i postaci kilkunastu uczennic klasy ósmej występują w tym pamiętniku z zastanawiającą nieraz plastyką. Autorka umiała zręcznie wyzyskać technikę pamiętnikarską w celu przedstawienia spraw rodzinnych i sentymentalnych swej bohaterki, a żywe sceny z praktyki szkolnej i charakterystyki uczennic, oprócz zadowolenia artystycznego, mogą nastręczyć sporo tematów do rozważań pedagogicznych.

Przechodząc teraz do literatury męskiej, na pierwszem miejscu muszę wymienić nową powieść Jerzego Bandrowskiego p. t. *Dom połamanych lalek* (Warszawa 1935; Dom Książki Polskiej). Tutaj technika pamiętnikarska oddaje również autorowi pierwszorzędne usługi. Bohaterem jest człowiek nerwowo chory, przebywający na kuracji w szpitalu miejskim, gdzie oprócz wszelkich innych oddziałów są też oddziały psychjatryczne. Przyczyną choroby bohatera jest dramat miłosny: opuszczenie przez ukochaną kobietę. Ponieważ tym bohaterem jest literat, autor mógł nie starać się o jakiś charakterystyczny styl pamiętnikarza, lecz pisać jak najbardziej po literacku. Toteż styl ten wypadł świetnie. Tak samo dwa główne tematy pamiętnika: dramat bohatera i opis szpitala z chorymi i lekarzami. W obydwóch tematach mamy tu często rzeczy pierwszorzędne. W opisie dramatu wyzyskano bardzo artystycznie motywy psychoanalizy Freuda i tak zwanej psychologji typów Kretschmera. W przedstawieniu życia szpitalnego, a zwłaszcza w opisach różnych postaci kobiet obłąkanych dał autor kilka obrazów, o których nie łatwo będzie zapomnieć czytelnikowi. W całości jest to głębokie, często odkrywcze i nowe wejrzenie w sprawy zaburzeń psychicznych, ujęte w formę powieściową bardzo suggestywną i otwierające rozległe perspektywy filozoficzne, a nawet metafizyczne i religijne. Ostrzegam jednak, że to nie jest lektura do poduszki.

Następnie chciałbym przypomnieć dawniej trochę wydaną powieść Tadeusza Łopalewskiego p. t. *Prowincjusze* (Warszawa 1934; „Rój"). To malowidło życia prowincjonalnego w powiatowem mieście gdzieś na kresach południowo-wschodnich ma sporo pierwszorzędnych zalet artystycznych. Techniku *Prowincjuszy*—jak cała ich tematyka i atmosfera opisywanego środowiska—nawraca do dawniejszych tradycyj naszej powieści, głównie do Bolesława Prusa. Jakkolwiek nie brak tu tematów nowych i najnowszych—jest nawet freudyzm—w całości, a zwłaszcza w charakterze swego humoru, jest to powieść wybitnie prusowska. Galerja postaci prowincjonalnych doskonała. Mniejszy natomiast nacisk położył autor na zdramatyzowanie akcji, w której te postaci się poruszają. Dokładniejsza precyzja kompozycyjna wyszłaby na dobre utworowi. Ale to jest bodaj jedyna ważniejsza uwaga krytyczna, jaką można uczynić wobec tej zajmującej i bardzo sympatycznej powieści.

Amatorom dobrych powieści sensacyjnych mogę polecić najnowszy utwór Stefana Kiedrzyńskiego *Twarze bez masek* (Warszawa 1934; Trzaska, Evert i Michalski). Autor ten dotychczas większą wagę przywiązywał do swojej twórczości teatralnej, dlatego jego powieści ustępowały pod względem wartości artystycznej jego komedjom. Tym razem zaznacza się pewien zwrot w tem ustosunkowaniu. Nowa powieść jest opracowana bardzo starannie: jej sensacyjna fabuła ma dostateczne umotywowanie psychologiczne, strona obyczajowa zarysowana jest przekonywająco, a przez rezygnację z łatwego *happy endu* rzecz wznosi się znacznie ponad poziom romansu sensacyjnego. Jest to niewątpliwie najlepsza powieść w dotychczasowym dorobku tego autora.

LEON PIWIŃSKI

Nowe Wydanie Pism JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
p. t.
„PISMA WYBRANE"
Do nabycia we wszystkich księgarniach.
SKŁAD GŁÓWNY
W TOWARZYSTWIE KULTURY i OŚWIATY,
WARSZAWA, AL. RÓŻ Nr. 2.
Cena za egzemplarz oprawny Zł. 7.

HISTORJA SZTUKI

ST. J. GĄSIOROWSKI, M. GĘBAROWICZ, T. SZYDŁOWSKI, W. TATARKIEWICZ, J. ŻARNOWSKI, J. ŻUROWSKI: *Historja Sztuki*. Tom I: JÓZEF ŻUROWSKI: *Sztuka prehistoryczna Europy*. — ST. JAN GĄSIOROWSKI: *Sztuka starożytna*. Lwów, 1934, Zakł. Nar. im. Ossolińskich.

W niemały kłopot wprawiał księgarza i bibljotekarza czytelnik, a profesora-filologa klasycznego lub archeologa czy historyka sztuki słuchacz, który domagał się poważnego, na wysokości wymagań nowoczesnej nauki stojącego podręcznika z zakresu historji sztuki starożytnej w języku polskim. Na dobrą sprawę bowiem dzieła takiego nie mieliśmy wcale. Trudno zaliczyć tu przedpotopowy przekład podręcznika A. Springera lub kilka oryginalnych polskich opracowań o charakterze niedwuznacznie dyletanckim, które trwalszej wartości naukowej nie mają.

Tę bardzo poważną lukę w naukowem piśmiennictwie polskiem zapełni szczęśliwie, jakby można sądzić na podstawie świeżo wydanego pierwszego tomu, trzytomowa, zbiorowa *Historja Sztuki*, chwalebny czyn lwowskiego Ossolineum. Opracowanie sztuki Europy przedhistorycznej powierzono Józefowi Żurowskiemu, zastępcy na katedrze prehistorji w Uniwersytecie Jagiellońskim zasłużonego Włodzimierza Demetrykiewicza; sztuki zaś świata starożytnego — S. J. Gąsiorowskiemu, najzdolniejszemu uczniowi i następcy Piotra Bieńkowskiego, archeologa krakowskiego o sławie światowej. Obaj autorzy, chociaż młodzi wiekiem, nie są w nauce nowicjuszami, a Gąsiorowski ma obok wielu prac mniejszych w swoim dorobku podstawową książkę *Malarstwo minjaturowe grecko-rzymskie i jego tradycje w średniowieczu* (Kraków, 1929). Dalekie podróże tego autora, rzetelna znajomość opracowywanych terytorjów i zabytków, przytem wybitny zmysł dla syntetycznego ujęcia materjału, dawały rękojmię, że pracę tę oddano w właściwe ręce.

A nieladu to była praca i niemała odpowiedzialność spadła na barki obu autorów. Musieli rozwinąć, a niejednokrotnie stwarzać odnowa fachową terminologję polską, techniczną i archeologiczną, musieli przedrzeć się przez ogromną gęstwinę wielojęzycznych opracowań monograficznych, przez las artykułów w czasopismach, co w naszych, ubogich w perjodyki i w literaturę archeologiczną — zwłaszcza anglosaską — warunkach pracy nie było sprawą łatwą; musieli zapoznać się z wynikami najnowszych wykopalisk, gdzie każdy dzień niemal przynosi coś nowego. Wreszcie z pośród dziesiątków tysięcy zabytków trzeba było dokonać wyboru tych, które miały być zreprodukowane i to w ten sposób, aby dać czytelnikowi obraz możliwie objektywny, ścisły i pełny. Przytem zamierzona, szczupła objętość tomu nakazywała najdalej posuniętą lakoniczność wykładu i syntetyczność ujęcia, bez zbytecznego obciążenia pamięci czytelnika masą dat i faktów drugorzędnego znaczenia.

Autorzy starali się dać w formie możliwie najbardziej skondensowanej sumę obecnej wiedzy o sztuce od początków jej w zamierzchłej epoce paleolitu aż po upadek cesarstwa rzymskiego. Wydaje mi się, że ten swój ambitny cel w dużej mierze osiągnęli i że pierwszy tom tej pierwszej całokształtnej, w języku polskim napisanej, historji sztuki nie ustępuje wcale pod względem treści tak doskonałemu podręcznikowi, jakim jest ostatnie, przez Pernice'a dokonane opracowanie I-go tomu znanego dzieła Lübkego (Esslingen, 1924), ale przerasta je nawet szerokością spojrzenia. Autorzy ujmują bowiem historję sztuki przedewszystkiem jako dzieje rozwoju i przemiany form plastycznych, będących wyrazem zmieniającej się woli artystycznej, związanej genetycznie z podłożem, ze splotem najistotniejszych zjawisk życiowych, a nie wyrosłej w oderwaniu od nich, w jakiejś idealnej próżni.

Józef Żurowski daje na 70 stronicach zwięzły, ale mimo to dla niespecjalisty dostatecznie wyczerpujący, choć niezbyt oryginalnie ujęty pogląd na sztukę Europy przedhistorycznej, od czasu starszej epoki kamienia po wędrówki ludów. Autor grupuje przejrzyście zabytki prehistoryczne w ramach przyjętej obecnie chronologji i rozpatruje je nie metodą opisowo-antykwarską, lecz ze względu na ich walory artystyczno-formalne i stopień doskonałości technicznego wykonania. Zarazem przybliża wytwory artystów pierwotnych, łowców mamutów, nomadów stepowych i pierwszych rolników z przed wielu tysięcy lat, zestawiając nie bez racji ich tendencje stylowe ze sztuką nowoczesną, np. z impresjonizmem, i czyniąc je w ten sposób dla dzisiejszego widza i czytelnika zrozumiałemi. W zdumienie wprowadzają reprodukowane malowidła w grotach Font de Gaume czy Altamira z epoki magdaleńskiej, oddające z nieomylną pewnością ręki i wirtuozyjnym wprost rozmachem życie bizonów i reniferów na swobodzie.

St. J. Gąsiorowski przedstawia na 300 stronicach w sześciu dużych rozdziałach, zatytułowanych: Afryka, Egipt, Azja Zachodnia, Egea, Grecja, Italja i Cesarstwo Rzymskie, dzieje sztuki starożytnej, a w ostatnim—sztukę epoki wczesnego chrześcijaństwa aż po wiek VI. Rozdziały te podzielone są przejrzyście na mniejsze odstępy, obejmujące chronologicznie po sobie następujące epoki, jak w Egipcie lub jak w Azji Zachodniej, rozwój sztuk plastycznych na poszczególnych terytorjach, których mieszkańcy luzowali się w ciągu wieków w stanowisku, przodującem politycznie i artystycznie na kontynencie azjatyckim. Na czele każdego rozdziału umieszcza autor zawsze chronologję, zasięg działania i charakter formalny sztuki danego terytorjum w danym czasie. Tekst uzupełnia 291 ilustracyj, wykonanych jednobarwnie techniką cynkotypji, dobranych inteligentnie i ze znawstwem, przyczem uniknięto szablonu, umieszczając wiele reprodukcyj bądź to ważnych zabytków, niedawno odkrytych, bądź też dawniej znanych, lecz rzadko reprodukowanych a bardzo cennych. Niestety same reprodukcje pozostawiają wiele do życzenia: wykonane w małej skali, odbite na nieświetnym papierze ilustracyjnym, nie zawsze dają właściwe pojęcie o wartości oryginałów, co sta-

nowi poważny brak. Bardzo bogata, obejmująca 12 stron druku literatura, rozłożona systematycznie wedle terytorjów i zagadnień, zdradza wszechstronne opanowanie materjału i umożliwi zainteresowanemu czytelnikowi głębsze wniknięcie w szczególnie zajmujące go zagadnienie. Podsunie mu ona zarazem wielkie publikacje tablicowe, które zastąpią braki ilustracyjne podręcznika. Umieszczone za tekstem objaśnienia wyrazów technicznych ułatwią lekturę niewtajemniczonym, wreszcie szczegółowo opracowany indeks umożliwi szybką orjentację w treści.

Gąsiorowski dąży do najdalej idącej ścisłości obserwacji i objektywności osądu zjawisk artystycznych, unikając jak ognia wszelkiego gołosłownego estetyzowania. Jak sam mówi w przedmowie, autorzy „chcieli w książce tej przedstawić fakty i przedstawić ich najwięcej i porządkować je najprzejrzyściej". Nie zadowolił się jednak przedstawieniem samych nagich tylko faktów: stara się konsekwentnie uwypuklić przyczynowy związek, łączący sztuki plastyczne z systemem politycznym, ze stanem ekonomicznym, uwarstwieniem społecznem danego terytorjum, epoki i szczepu. Pisze np. o Egipcie (str. 77): „Sztuka w Egipcie jest w pierwszym rzędzie funkcją władcy, ale w przeciwieństwie do Azji Zachodniej także i wielkich klas społecznych.... potężnej w wielkich epokach biurokracji i kleru". Dalej — bada, do jakiego stopnia jest religja w pewnych epokach motorem twórczym plastyki, jakie specyficzne właściwości technik artystycznych i jakie cechy stylowe wypływały z położenia geograficznego, a jakie były uwarunkowane przenikaniem i wymianą dóbr materjalnych i kulturalnych z krajami obcemi. Słowem, autor usiłuje dać obraz nietylko ścisły i pełny, ale stara się także oświetlić go możliwie najwszechstronniej. Wykład jest naogół jasny i zrozumiały, zdania są krótkie, słowa dobrze przylegają do myśli. Stylowi Gąsiorowskiego, poprawnemu zresztą, możnaby zarzucić tylko pewną suchość i bezbarwność, powiedziałabym, że język ten jest nieco anemiczny. Jedyny zarzut formalny, który możnaby mu zrobić, to przeładowanie wyrazami obcemi. Zapewne, użycie wielu z nich było nieuniknioną koniecznością, ale pewien i to znaczny procent mógłby doskonale być zastąpiony przez wyrażenia polskie.

Reasumując, trzeba powiedzieć, że naogół podręcznik Żurowskiego i Gąsiorowskiego jest zupełnie dobry, że jest owocem dużego oczytania i krytycznego przetrawienia przeczytanego materjału, że odda doskonałe usługi nietylko słuchaczom uniwersytetów, ale każdemu interesującemu się sztuką starożytną czytelnikowi. Należy tylko wyrazić zdziwienie i żal, że Ossolineum nie postarało się o godniejszą, bardziej reprezentatywną szatę zewnętrzną i lepsze zilustrowanie książki, której poważna, naukowo solidnie postawiona treść ze wszech miar na to zasługiwała.

ZOFJA AMEISENOWA

T E A T R

TEATR NARODOWY: *Wielki człowiek do małych interesów*, komedja w 5 aktach ALEKSANDRA FREDRY. Reżyserja Aleksandra Zelwerowicza.

Fredro ma dobrą passę. Możnaby patetyczniej powiedzieć, że Nemesis dziejowa szczodrze, z nawiązką, wymierza mu sprawiedliwość. Niestety Boy psuje wspaniałą skądinąd lokucję, bo to właśnie on jest narzędziem owej Nemesis. Już w pierwszym tomie *Flirtu z Melpomeną* znalazło się przeciwstawienie pana na Beńkowej Wiszni — wieszczom, skojarzenie „pierwszego roku teatralnego w niepodległej Polsce" z teatrem fredrowskim. Teraz w osobliwie żałobną rocznicę zawieszenia twórczości na kołku (na złość obmierzłym demokratom!), Zaw. Związek Literatów we Lwowie rozsyła cyrkularz co do formy uczczenia Fredry, na stole leżą: *Obrachunki fredrowskie* z wysoko dobitemi procentami, na scenie lwowskiej idzie *Zemsta*, w Warszawie: *Wielki człowiek*. Dobra passa.

Jedna z „pośmiertnych" komedyj, jedna z ostatnich, jakie Fredro napisał po kilkudziesięciu latach wielkopańskiego rankoru, ale którym z szuflady wyjrzeć nie pozwalał w nieprzejednaniu urażonej dumy — *Wielki człowiek* nie jest utworem ani zbyt harmonijnym, ani zbyt wysokim. Jego *trouvaille* prawdziwie natchnioną, odkrycie, wynalazek stanowi tytuł i kreacja tytułowa: Ambroży Jenialkiewicz. Genjusz parafji, pierwszy łepak zabitego partykularza, jego autorytet intelektualny, amatorskie biuro porad, starokawalerstwo sublimowane w opaczny pedantyzm, niewyżyty instynkt ojcowski zaprzątnięty profesjonalnem „opiekuństwem", grafomanja idealnie bezinteresowna, mało kaligraficzna, sama siebie nie umiejąca odczytać. — Cóż za pocieszna figura! I jaka wieczna! Mimowolnie przejrzał się w niej Stan. Tarnowski, gdy „genetycznie" odniósł tę komedję do czasów po r. 1850 „kiedy reakcja Bacha w całem państwie austrjackiem, a zatem i w Galicji nie dawała pola na działanie, ani sposobności do ukazania się w całym blasku wielkości" (!).

Fredro, autor *Geldhaba*, nie umie tego odkrycia charakterystycznego zdynamizować, energji, jaka w niem tkwi, puścić na transmisje ruchu dramatycznego. Komedję charakteru łata i faszeruje intrygą. W niewinnym, przekomarzającym się kontredansie miłosnym to tylko jest zabawne, że odbywa się on nie w takt poddany przez genjalnego pana Ambrożego.

Stąd ta sztuka jest właściwie i pozostanie aktorskim popisem solowym, w którym odtwórca i widz odczuwają, że nie wszystkie możliwości zostały wygrane. Ilekroć Zelwerowicz, kapitalnie odtwarzający Jenialkiewicza, wychodził za kulisy, na scenie wypadała pustka. Musiało się żałować, że agitację wyborczą prowadził poza polem naszego widzenia. Zamiast wstawki farsowej IV-go aktu wolelibyśmy widzieć jak dzierga dyplomatyczną robotą, tak subtelną, że się w nią chwyta — zupełnie inna zdobycz.

Jenialkiewicz Zelwerowicza był pozbawiony demoniczności. Została mu odjęta cała groza „jenjusza", uzurpowanego władztwa nad rzeczywistością. W tem ujęciu jest to zwarjowany, cudaczny staruszek, w swojem warjactwie i cudaczności pełen wdzięku. Jego manjactwa są niewinne i nieszkodliwe. Życie przechodzi nad niemi automatycznie do porządku, robi swoje i po swojemu wyrównywa, pozwalając uroczemu ramolowi smażyć nieczytelne rozprawy, nabijać kartoteki bzdurnemi raportami korespondentów, stwarzać fikcyjną celowość, mieć złudną wiarę, że kieruje rzeczywistością. Wszak mimo głupstw, o których sam mówi („jakem Ambroży"), losy, udziały fortuny układają się u końca sztuki harmonijnie: bogaty Dolski dostanie biedną ale kochaną pannę, goły Leon urząd zamiast posażnej Matyldy, która przypadnie miłemu, a niezbyt sprytnemu utracjuszowi. Wszystko naopak, niż zamyślał, kombinował, i niezawodnie przeprowadzał („spuść się na mnie") pan Ambroży, ale w zgodzie z jakąś optymistyczną sprawiedliwością poetycką.

To zgodne z widzeniem Fredry ujęcie postaci Zelwerowicz wyposażył w wielką finezję roboty charakterystycznej. Była ona tak przemyślana i tak bogata, że partje Jenialkiewicza skupiały całe światło na nim i — z czego można zrobić zarzut — zwalniały tempo. Artysta eksponował swego Jenialkiewicza *au ralenti* — powtarzaniem, automatyzacją gestów charakterystycznych, świetnie wyrazistą mimiką. Wyposażył go w starczą euforję promieniejącą z uśmiechu i spojrzenia. Soczysty wigor złączył w nim z niewolącym urokiem.

Takie postawienie roli wynikło z zasadniczego założenia reżyserskiego: Zelwerowicz nie zamierzył historycznej rekonstrukcji, nie chciał też aktualizować. Jak najdalszy był od — „krwawej satyry". Można powiedzieć, że widział komedję bardzo po boyowsku, acz właśnie Boy jest krytykiem jego ujęcia. Poszło ono po linji stylizacji groteskowej, tylko groteska, która tkwi zresztą w samym tytule komedji, była dobrotliwa, pozbawiona ostrza, uśmiechnięta. Myślę, że taka koncepcja nie jest objawem defetyzmu, jak chce Boy, ale stanowi poszukiwanie „stylu fredrowskiego" nie w sensie pewnej tradycji inscenizacyjnej i reżyserskiej, ale adekwatności formy scenicznej z postawą autora, z reprezentowanym przez niego typem humoru.

To się Zelwerowiczowi w wysokim stopniu udało. Największy walor estetyczny widowiska stanowi jednolitość stylowa, obejmująca i dekorację i interpretację aktorską. Niedawno oglądaliśmy przedstawienie, w którem dekorator i reżyser rozmawiali różnemi językami. Tu między Zelwerowiczem, a młodą, pierwszorzędnie się zapowiadającą parą dekoratorską (Teresa Roszkowska i Wacław Ujejski) panowało idealne porozumienie. Groteskowa szarża szczegółów (rogacze nad drzwiami, biusty, etc.) kojarzyła się w dekoracji domu wiejskiego z tłem słonecznem, kolorowem, uśmiechniętem; nic z makabryczności. Dekoracja aktu IV-go może nieco zbyt wymyślna miała jakąś filigranową przegibność, kokieteryjność, dobrze operowała jednym motywem (lira), jakby z aluzją do piosnki Dolskiego. Kostjumy *à la* Biedermeier przez lekkie szarże kroju: bufiaste rękawy, wymyślne wcięcia, powiększone klapy — odchodziły na ten sam dystans do historycznej rzeczywistości, co gra aktorów i dekoracja. Idąc konsekwentnie po obranej linji do takich szczegółów, jak fryzury, przybrania głowy, dekoratorzy komponowali świetnie groteskowe, zabawne sylwetki (Jenialkiewicz, Leon, Matylda). Niestety materjał niekiedy nie wytrzymywał w świeżości nawet próby premjerowej. Kilka postaci ze szkodą dla jednolitości wrażenia wymknęło się temu przerysowaniu (zwłaszcza Karol).

Aktorzy naogół wmieścili się dobrze w koncepcję inscenizacyjną. Matylda Smosarskiej: rogata dusza siedząca pod nastroszonym kokiem, miała zamaszystość, werwę, przekorność. Dobrze z nią kontrastowała Burszczewska, ale nie zdołała w pełni ożywić postaci wyjątkowo bladej w tym utworze. Sawan i Pawłowski tworzyli dobry męski duet charakterologiczny: „mankolicznego", wyrachowanego, zimnego Leona i spontanicznego, pogodnego, łobuzowatego Karola. Poza obrębem ujęcia stylowego znajduje się tylko Maszyński (Dolski), który przez swój komizm zbyt ostry, zbyt sarkastyczny, zbyt okrutny w charakterystyce anarchizował widowisko. W swoim akcie solowym (IV) potrafił sobie przecież całkowicie pozyskać publiczność.

W całości *Wielki człowiek* jest jednem z bardziej uroczych widowisk fredrowskich, jakie widziałem.

TYMON TERLECKI

Sprostowanie. W recenzji mojej z *Pięknej Heleny* w Teatrze Letnim zaszła pomyłka co do odtwórcy roli Parysa: był nim nie p. Wasiel, lecz p. Conti.

T. T.

M U Z Y K A

FILHARMONJA WARSZAWSKA: Piątkowy koncert symfoniczny d. 1.II. Poranek d. 3.II.

Stały symfoniczny koncert piątkowy zawierał tym razem akcent specjalny, podniosły, jako wyraz hołdu złożonego przez filharmoników warszawskich Dostojnemu Solenizantowi, Panu Prezydentowi Mościckiemu. Pozatem jednak wieczór, biorąc z punktu ściśle muzycznego, był raczej przeciętny, nie nastręczający żywszych i głębszych doznań artystycznych. Nie mogły ich dać Z. Noskowskiego warjacje symfoniczne p. t. *Z życia narodu*. Subtelny motyw chopinowskiego preludjum *A-dur*, przewijający się nieustannie, oddawany coraz innym instrumentem, porwany wreszcie w końcowem *tutti* przez brutalną chrapliwość puzonów, wywierał wrażenie bolesne i groteskowe.

„Murowaną" rekompensatę zapowiadał I-szy koncert skrzypcowy K. Szymanowskiego, wykonany z towarzyszeniem orkiestry pod dyrekcją G. Fitelberga, przez p. Colette Frantz. Ten oryginalny utwór, jeden z bardzo nielicznych pozytywnych wkładów muzyki dzisiejszej w historyczny gatunek koncertu skrzypcowego, nie znalazł w p. C. Frantz odtwórczyni kongenjalnej. Wykonanie było opanowane, zdradzające dobrą kulturę muzyczną, ale zimne, ścieśnione w ekspresji i barwie granicami niezbyt wielkiego tonu. To też wszystkie „niedosycone" nadzieje skupiły się na *Suicie* B. Woytowicza, wykonanej po raz pierwszy tego wieczoru. W naszym dość ubogim nurcie życia muzycznego pojawienie się nowego dzieła stanowi łatwo zrozumiałą sensację, w dobrem tego słowa znaczeniu. *Suita* Woytowicza nie wnosi do muzyki polskiej wartości wielkich i nieprzemijających. Brak jej własnego, indywidualnego oblicza, tej wewnętrznej treści, która fali dźwięków, ułożonych w określone kształty muzyczne, nadaje jednolitość i żywotną samowystarczalność dzieła sztuki. Mimo to stanowi ona zdarzenie ciekawe i dodatnie jako wyraz twórczości młodego pokolenia naszych muzyków. Woytowicz zna dobrze swe „rzemiosło" muzyczne, co pozwala mu nietylko na swobodę w technice kompozycyjnej, ale i na opanowanie wielostronnych możliwości współczesnej orkiestry symfonicznej. Jego postawy twórczej nie cechuje banalny i niebezpieczny prymat tajemniczego „natchnienia". Tworzy on świadomie, stawiając sobie wyraźne problematy do rozwiązania, co nakazuje szacunek dla twórcy, a jego dziełu nadaje lekki odcień eksperymentacyjnych poszukiwań. Poszukiwania te idą w przeszłość ku konstrukcyjnym typom stylu Haendla i Mozarta (*Aria, Intermezzo*), posiłkując się przytem motywami z muzyki ludowej (*Toccata, Finale*). W żadnym jednak wypadku nie mamy tu wymuskanej stylizacji.

Woytowicz, opierając się na klasycznym zrębie, deformuje go zlekka środkami nowoczesnemi, dążąc w ten sposób do osiągnięcia nowego stylu i wyrażenia nowej treści.

Koncert piątkowy, pozwalając zestawić utwory trzech pokoleń muzyków, chociaż w doznaniach słuchacza-konsumenta nie wycisnął silniejszych wrażeń, jako program miał w sobie linję ciekawą, pobudzającą do refleksyj nad rozwojem twórczości muzycznej w Polsce.

Poranek niedzielny poświęcony był twórczości Beethovena. Wykonano uwerturę do opery *Fidelio*, koncert fortepianowy *Es-dur* i symfonję *Pastoralną*. Wydziałowi Oświaty i Kultury Zarządu Miejskiego m. st. Warszawy, który współdziałał przy organizowaniu tego popularnego koncertu, przyświecała niewątpliwie myśl chwalebna: dać szerokiej publiczności utwory klasyczne nietylko w sensie stylu ale i doskonałości, zerwać z mdłą dydaktyką, z dzieleniem publiczności na jakieś wyższe i niższe kasty, wtajemniczonych i prostaków, obdzielanych jałmużną. Zamiar ten, jeśli zresztą miał miejsce istotnie, nie osiągnął w tym wypadku rezultatów. Było w tem coś z gorzkiej ironji, że wspaniały program, w wykonaniu, zamiast porywać do muzyki, ział nudą i tłumił chęć oddania się nurtom cudownej muzyki. Niewątpliwie znaczna część winy spada na zjałowiałą tradycję poranków niedzielnych, które nie rozwinęły atmosfery przyciągającej. Główną jednak przyczyną ponurego wyglądu i nastroju sali było wykonanie programu. Pan B. Woytowicz, tym razem jako pianista, grał koncert bez przekonania, z jakąś pieszczotliwą delikatnością. Pan J. Goldstein „towarzyszył" mu zgodnie. Lecz ani w uwerturze, ani w symfonji, gdzie miał już pole do indywidualnego wyżycia się jako dyrygent, nie zdołał rozerwać ciężkich chmur monotonnej nudy.

Zagadnienie popularnych koncertów jest zagadnieniem ważnem. Chodzi o fundamenty dla naszej kultury muzycznej. Zarząd Filharmonji i Wydział Oświaty Zarządu Miejskiego muszą się zdobyć na jakieś radykalne zmiany i środki w celu pociągnięcia szerszych mas do muzyki. Doświadczenia, jakie poczyniły w ostatnich tygodniach teatry warszawskie, dając słuchaczom, przy niskich cenach, doskonały, przemyślany repertuar, pierwszorzędnych aktorów i reżyserów, świetny montaż sztuk teatralnych, wskazują drogę, którą i w omawianym wypadku iśćby należało.

ST. FURMANIK

Z WYSTAWY SZTUKI WŁOSKIEJ

SIRONI MARIO — Rodzina

Zagadnienie awangardy filmowej

Słowo „awangarda" błąka się w naszym światku filmowym jak pokutujący duch. Straszy producentów, a młodych filmowców wodzi na manowce. Niewtajemniczonych wyraźnie onieśmiela, czaruje jak „abracadabra" w magji. Ziemiańska na Marszałkowskiej zna kilku takich czarodziei archanielskich. O awangardzie mówi się w każdej dyskusji, ale nikt jakoś nie próbuje pojęcia zdefinjować, nikt nie stara się zmaterjalizować nieuchwytnej zjawy.

Spróbujmy to zrobić. Okaże się wtedy, że czarodzieje z kawiarni są szarlatanami, że kiedy na ekranie melonik bohatera zamienia się na babią górę, to niema jeszcze awangardy, że jej wogóle w Polsce niema i nigdy nie było.

Awangardą nazywamy odkrywców, poszukiwaczy. Rzeczy nowe, niewidziane—oto z czem tacy przychodzą. Chodzi w dodatku o zdobycze trwałe, nie o jakieś przelotne dziwactwa. W bohaterskiej epoce, kiedy niemy film walczył jeszcze o samo miejsce w gronie muz, kino było jak złotodajne Klondyke i wtedy łatwo było robić ciekawe odkrycia. Każdy rok je przynosił i niektóre były ogromnej wartości. Nazwiska pierwszych „poszukiwaczy" przeszły do historji. W Ameryce Griffith, Chaplin, Murnau, Stroheim; w Niemczech ekspresjoniści, Ruttman, Richter; we Francji René Clair, Man Ray, Leger; w Rosji Ejzensztejn, Pudowkin, Wiertow... Nie próbuję dać kompletnego spisu, może trzeba ukłonić się także w stronę King Vidora, Dreyera, Pabsta, Ivensa, Bunuela...

Jednak epoka odkrywania bogatych żył przez wymienionych wyżej szczęśliwców skończyła się już dawno. Okres wytężonej pracy awangardy minął, jak mija okres zębkowania. W ostatnich latach filmu niemego nie widzieliśmy nowych artystycznych „odkryć". Stylistyka kinowa już istniała i była do użytku wszystkich. Wszystkie najważniejsze formalne efekty ekranu można było nazwać i sklasyfikować. Były tam prawa zapożyczo-

Cres. 12442/3/7

ne z innych sztuk i były rzeczy nowe, właściwe tylko kinu. W zdjęciach przekonaliśmy się o wartości zbliżenia, poznaliśmy duszę filtrów, pryzmatów i soczewek. Mogliśmy zastosować panoramę i wózek, zdjęcia zwolnione, przyśpieszone, albo trikowe. Poznaliśmy deformacje, wynikające z ustawienia świateł, z użycia szeroko otwartych objektywów. W montażu mogliśmy stosować rozmaite warjanty przejścia: asocjacje różnego rodzaju, kontrasty, porównania i metafory. Znaną była gradacja efektów, kino stworzyło sobie „czwarty wymiar", z muzyki wzięło rytm, słowem: miało już swój język, swoją gramatykę, składnię i dość bogatą stylistykę. Diafragma i różne rodzaje roletek mogły służyć za znaki przestankowe. Każda z tych „sztuczek" miała swą długą i ciekawą historję, każdą można było zilustrować przykładami z najlepszych filmów—byłyby to takie filmowe „wypisy" czy czytanki.

Te czytanki mogłyby nas nauczyć wielu rzeczy, np. tego, że sztuczka jest jeszcze niczem bez emocjonalnego ładunku treści, którą jedynie twórca dać potrafi. Niestety, ani takiej stylistyki, ani wypisów nie napisano. Zabierano się do tego, kiedy raptem Al Jolson zaśpiewał na ekranie. Nieporozumienia trwały nadal, a wynalazek dźwięku chaos powiększył jeszcze. Awangardą nazywano to, co wcale nią nie było, albo odkrywano te same rzeczy po kilka razy. Niesłychany analfabetyzm panuje do dziś dnia, nawet w samej branży (cóż za brzydkie słowo!). Panom, którzy „robią" kino już od szeregu lat, przydałby się jeszcze jakiś instytut ogólnej kultury filmowej.

Jak z powyższego widać, na wiedzę o kinie złożyły się nietylko zdobycze reżyserów, ale także—samej techniki. Technika, robiąc odkrycia na własną rękę, dawała „poszukiwaczom" coraz lepsze, doskonalsze narzędzia. Technika szła nawet znacznie prędzej od awangardy, wyprzedziła ją w końcu o siedem mil: jeszcze nie było spisu „odkryć" filmu niemego, jeszcze się o pewne rzeczy teoretycy spierali, kiedy technika kazała się pożegnać z filmem niemym na zawsze. Wielki niemowa zagadał, wywołując rewolucję w przemyśle i konsternację w świecie artystycznym.

I teraz pytanie: czy z wynalezieniem kina dźwiękowego należało przerabiać całą dotychczasową teorję, istniejące już próby estetyki filmowej? Wszystko burzyć i budować od nowa, czy też tylko dobudować coś niecoś?

Jestem tego drugiego zdania. Na początku kina był obraz (element ruchu plus element światła) i obraz pozostanie esencją kina na zawsze. Nawet wtedy, kiedy nam podarują kino kolorowe, wypukłe i pachnące. Będą to elementy dodatkowe, drugorzędne, jak obecnie dźwięk i mowa. Dlatego teorje naszego i zagranicznych Irzykowskich, o tyle, o ile były zasadniczo słuszne w odniesieniu do kina, pozostaną słusznemi i teraz, dla filmu dźwiękowego. Tylko trzeba dodać nowy rozdział o roli dźwięku, tego nowego elementu.

Rozdział ten już można zacząć pisać. Mieliśmy dość czasu, żeby się do nowego zjawiska ustosunkować. Gorzej jest z praktyką. Doświadczeń było niewiele i odkryto dotąd mało. Ogromne koszta produkcji nie pozwalają na robienie eksperymentów i awangarda filmowa nie ma możliwości do pracy. Mogłaby wiele zrobić, ale kto da pieniądze? Dlatego odkrycia zrobili jedynie ci, którzy mieli większą swobodę ruchów, czy to dzięki już ustalonej sławie, czy też dzięki przypadkowej grze okoliczności. Np. we Francji René Clair i Cocteau, w Niemczech Ruttman i Trivas. Osobną pozycję stanowi kino sowieckie, jedyny kraj, gdzie nigdy nie traktowano kina jako afery. Dlatego rozdział filmowej stylistyki o dźwięku poświęci z pewnością wiele miejsca reżyserom sowieckim. W uprzywilejowanej sytuacji znalazł się także film rysunkowy, dla którego dźwięk stał się rajem. Taki Fleisher, Disney z ich Micky Mice i świnkami powinni mieć jedno z pierwszych miejsc w awangardzie. Dodajmy do tego abstrakcje Fischingera i na tem, niestety, spis się wyczerpie.

Tak więc, choć nowy teren do eksploatacji powstał, poszukiwaczy na nim prawie nie widać. To prawda, że wielu z nich zabłądziło. Zapominając o przykazaniach kina, przeszli na tereny obce, pomieszali kino z teatrem, operą, operetką i rewją.

Po tych rozważaniach staje się jasnem, że zagadnienie awangardy filmowej w Polsce właściwie nie istnieje. W naszym ogródku nic się nie zieleni, same ugory. Wyrwy, które tu i owdzie widać, to nie brózdy od zaorania, to ślady, jakie pozostawiły ciężkie buty różnych pomyleńców. Długi metraż wogóle nie wchodzi w rachunek, to temat dla pism satyrycznych. Film polski, to z małemi wyjątkami „wolne żarty".

Ale u nas słowo „awangarda" pada, kiedy się mówi o krótkim metrażu. Kieruje się nań oko pełne miłości i nadziei. Tu ma bowiem leżeć przyszłość filmu polskiego, piękna i bogata. Może krótki metraż wychowa prawdziwych polskich filmowców, ale jednak żaden z polskich filmów krótkometrażowych nie był awangardowym. Było kilka filmów, które wykazały, że ich autorzy nieźle znają stylistykę kinową, że potrafią czasem ożywić sztuczkę techniczną jakąś treścią wewnętrzną. Ale to wszystko. Filmy te nie przynosiły nic nowego, przynieść nie mogły, bo autorzy poszukiwali efektów jedynie od strony obrazu, tj. tam, gdzie wszelkie możliwe efekty są dawno zapisane i skatalogowane. Tam zaś, gdzie są naprawdę rzeczy do odkrycia, na teren dźwięku—żaden z naszych krótkometrażowców jeszcze się nie zapuścił.

Wiem, że główną tego przyczyną jest brak odpowiednich środków finansowych (filmy takie robi się za grosze) i technicznych. Niemniej jednak fakt pozostaje faktem: awangardy niema. Dlatego ciekawy np. dodatek p. Forda „Na start" niesłusznie nosi tę etykietę. Są tam bez wątpienia rzeczy dobre, ale nie nowe, a takie tylko można nazywać awangardowemi.

Polski krótki metraż—to w najlepszym razie szkółka dla młodych talentów. Jest w niej kilku zdolnych wychowanków i całe mnóstwo tępych. Miejmy odwagę przyznać się także, że jest to szkółka bez nauczycieli i podręczników. A w takim razie bądźmy skromniejsi. Trzeba kupić kilka książeczek, posiedzieć w domu, nie w kawiarni, i popracować pilnie. Słowo „awangarda" powinno być zabronione. Kto je wymówi—zapłaci karę.

A. BOHDZIEWICZ

NADESŁANE

TAŃCE I MUZYKA TANECZNA NA HUCULSZCZYŹNIE

Absolwent etnologji p. Roman Harasymczuk w latach 1931 i 1933 zebrał bardzo wiele materjałów do tańców huculskich kołomyjkowych i kołomyjkowo-kozaczkowych. Poszukiwania terenowe trwały blisko 12 miesięcy, przyczem wykonano wiele fotografij, około 100 metrów filmu i zebrano kilkadziesiąt melodyj tanecznych. Plon tych prac zestawiony będzie w specjalnej monografji etnograficznej.

Podczas zbliżającego się Marszu Huculskim Szlakiem II Brygady Legjonów (14—17. II.) uczestnicy będą mogli usłyszeć i zobaczyć najbardziej charakterystyczne melodje i tańce na występach huculskiego teatru z Żabiego, który zaprodukuje się w Worochcie w sali Tow. Szkoły Ludowej.

*

Odpowiedzi Redakcji

BEMA, GNIEZNO. Z wierszy nie skorzystamy.

J. J., KRAKÓW. Z wierszy *(Tango makabryczne* i dwa inne)—nie skorzystamy.

B. D., BUCZACZ. Wiersz *Cmentarzysko* nie będzie drukowany.

A. G., PARYŻ. Artykuły (*Z paryskich nowości teatralnych* i dwa inne)—nie będą drukowane.

J. N. K., KRASNYSTAW. Recenzji nie zamieścimy.

Od Redakcji

W celu ułatwienia pracy redakcyjnej i uniknięcia ewentualnych nieporozumień z Sz. Autorami, prosimy: a) o nadsyłanie rękopisów wyraźnie pisanych (najlepiej na maszynie), z interlinją, po jednej stronie arkusza, z pozostawieniem marginesu;

b) o nadsyłanie znaczków pocztowych w razie żądania zwrotu rękopisów, gdyż inaczej manuskryptów nie zwraca się;

c) o odbieranie nieprzyjętych rękopisów do druku w lokalu redakcji lub administracji *Pionu* (Al. Róż 2, parter) u p. Łuckiewicza. Materjały, nie odebrane w ciągu sześciu tygodni od zawiadomienia o decyzji redakcji, ulegną zniszczeniu;

d) rysunki, wykonane tuszem, i fotografje, niemniejsze niż 9 × 12 cm, przeznaczone do publikacji, winny być objaśnione na odwrotnej stronie ołówkiem. Odpowiedzialność za prawo reprodukcji ponoszą autorowie nadsyłający ilustracje.

Książki nadesłane do Redakcji

POWIEŚĆ

MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA: *Przygody Don Kichota.* W przekładzie z hiszpańskiego i opracowaniu Dr-a Edwarda Boyé. Z 15 rysunkami według G. Dorégo. Lwów—Warszawa. Książnica-Atlas.

ZYGMUNT DOLIŃSKI: *Miłość i czyny Lili.* Powieść współczesna. Wydanie II. Warszawa 1934. Wyd. *Il. Kurjera Zachodniego* w Lesznie.

ZYGMUNT DOLIŃSKI: *Niezwykły pomysł Dr. Anapesta.* Powieść współczesna. Wydanie II. Warszawa 1934. Wyd. *Il. Kurjera Zachodniego* w Lesznie.

ZYGMUNT DOLIŃSKI: *Wieczny młyn.* Powieść współczesna. Warszawa 1934. Wyd. *Il. Kurjera Zachodniego* w Lesznie.

HISTORJA LITERATURY

TADEUSZ ŻELEŃSKI (BOY): *Obiad literacki.* Warszawa, Bibljoteka Boya.

KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI: *Z przeszłości naszej i obcej.* Dwa tomy w jednym. Lwów 1935, Ossolineum.

HISTORJA

B. PAWŁOWSKI: *Historja wojny polsko-austrjackiej 1809 r.* Warszawa 1935. Główna Księgarnia Wojskowa.

EINHARD: *Życie Karola Wielkiego.* Z oryginału łacińskiego przełożył, wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Jan Parandowski. Lwów—Warszawa 1935, Państw. Wydawnictwo książek szkolnych.

ARCHEOLOGJA

W. H. BOULTON. *Wieczność piramid i tragedja Pompei.* Z nowych badań archeologji. Przełożył i wstępem opatrzył Kazimierz Michałowski. Bibljoteka Wiedzy tom 10. Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski.

PUBLICYSTYKA

MELCHJOR WAŃKOWICZ: *Opierzona rewolucja.* Warszawa 1934. „Rój".

PEDAGOGIKA

ST. NOWACZYK: *Przewodnik metodyczny do opowiadań z dziejów ojczystych dla V klasy szkół powszechnych Wł. Jarosza.* Lwów 1934. Ossolineum.

M. KRAWCZYK: *Ćwiczę i wychowuję.* Podręcznik ćwiczeń cielesnych dla nauczyciela szkoły powszechnej. Lwów 1934, Ossolineum.

DR. ED. CLAPARÈDE: *Jak rozpoznawać uzdolnienia uczniów.* Przełożyła Dr Justyna Jastrzębska. Przedmowę napisał Prof. St. Baley. Lwów—Warszawa. Książnica-Atlas. (Bibljoteka przekładów dzieł pedagogicznych. T. 17. Pod redakcją Dr. Zygmunta Ziembińskiego).

NAUKI TECHNICZNE

KAZIMIERZ DREWNOWSKI, KAZIMIERZ KLING, EUGENJUSZ KWIATKOWSKI, WACŁAW LEŚNIAŃSKI, JAN MODZELEWSKI, LECH SUCHOWIAK, WOJCIECH ŚWIĘTOSŁAWSKI, LUDWIK WASILEWSKI: *Profesor Ignacy Mościcki. Życie i działalność na polu nauki i techniki.* Warszawa 1934. Nakładem Komitetu uczczenia 30-lecia pracy naukowej Profesora Dr. Ignacego Mościckiego, Prezydenta Rzeczypospolitej. Z zasiłku Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

STATYSTYKA

J. WĄSOWICZ i A. ZIERHOFFER: *Świat w cyfrach.* Rocznik 1935. Lwów—Warszawa 1935. Książnica-Atlas. (Rocznik Instytutu Kartograficznego im. E. Romera. R. IV).

PERJODYKI

Życie Sztuki. Pod redakcją Z. L. Zaleskiego. Rocznik I. Warszawa 1934. Kasa im. Mianowskiego.

VARIA

W. B. PITKIN: *Życie zaczyna się po czterdziestce.* Warszawa. Nakł. Trzaski, Everta i Michalskiego.

ROMAN STARZYŃSKI: *Agencje informacyjne.* Dzieje, stan obecny i znaczenie prasowych agencyj telegraficznych. 1835—1935. Warszawa 1935. Wydawnictwo Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism. Tom III.

BOGDAN ZABORSKI: *Atlas powiatu morskiego i Gdyni.* Zeszyt I. Warszawa 1934.

OSTATNIE NOWOŚCI
DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ

	Zł.
Alberti Kazimiera. CI, KTÓRZY PRZYJDĄ. Powieść mieszczańska. Wydanie drugie.	7.—
Auderska Helena. POCZWARKI WIELKIEJ PARADY. Pamiętnik maturzystki 4.50, w oprawie kartonowej	5.50
Bandrowski Jerzy. NA POLSKIEJ FALI. Powieść dla młodzieży. Z rycinami. Polecona jako lektura uzupełniająca dla I kl. gimnazjalnej. Wydanie trzecie. W oprawie kartonowej	4.50
Bandrowski Jerzy. PAŁAC POŁAMANYCH LALEK. Powieść psychjatryczna	6.—
Conrad Joseph. W OCZACH ZACHODU. Pism zbiorowych t. VIII. Tłumaczyła H. J. Pajzderska	6.—
Conrad Joseph. ZE WSPOMNIEŃ. Pism zbiorowych t. XV. Tłumaczyła Aniela Zagórska	4.80
Deotyma (Jadwiga Łuszczewska). PANIENKA Z OKIENKA. Starodawny romansik. Okładka i rysunki w tekście Antoniego Gawińskiego. Polecona jako lektura uzupełn. dla II kl. gimn. Wyd. IV 3,80, w oprawie kartonowej	4.80
Gąsiorowski Wacław. ACH, — TE „CHAMY" W AMERYCE	6.—
Gąsiorowski Wacław. ANARCHIŚCI. Wydanie trzecie 4.50, w oprawie płóciennej	7.50
Gąsiorowski Wacław. FAJKA BATOREGO. 10 opowiadań historycznych 4.50, w oprawie kartonowej 5.50, w oprawie płóciennej	7.50
Gąsiorowski Wacław. ORLĘTA. Wydanie drugie, z rycinami 4.50, w oprawie kartonowej 5.50, w oprawie płóciennej	7.50
Gąsiorowski Wacław. ROK 1809. Powieść historyczna z czasów napoleońskich. Dwa tomy. Wyd. V 10.—, w oprawie płóciennej	16.00
Gąsiorowski Wacław. SZWOLEŻEROWIE GWARDJI. Powieść historyczna. Wydanie czwarte 7.—, w oprawie płóciennej	10.00
Kasprowiczowa Marja Janowa. HARENDA. Dziennika cz. V.	6.60
Kozicka-Dunin Marja. MIŁOŚĆ ANI. Powieść współczesna, 8.—, w oprawie kart.	9.60
Pękalski J. DROGI KSIĄŻKI. Wpływ książki w zależności od sposobu jej otrzymania	3.—
Przyborowski Walery. MŁODZI GWARDZIŚCI. Powieść z oblężenia Warszawy przez Prusaków w r. 1794. Z rycinami w tekście. Wyd. V, z przedmową prof. H. Mościckiego 4.—, w oprawie kartonowej	5.—
Przyborowski Walery. NAMIOTY WEZYRA. Powieść historyczna z czasów Jana III. Z rycinami w tekście. Wyd. nowe z przedmową prof. H. Mościckiego 4.—, w oprawie kartonowej	5.—
Sieroszewski Wacław. MARSZAŁEK JÓZEF PIŁSUDSKI. Życiorys. Z rycinami w tekście. Polecona jako lektura uzupełn. dla II kl. gimn.	1.80

ILUSTROWANY DZIENNIK ŚLĄSKI

POLSKA ZACHODNIA

największy, najpoczytniejszy i najtańszy organ na Śląsku, wychodzący 7 razy w tygodniu, przynosi bogaty, najświeższy materjał informacyjny z Polski i z całego świata: depeszowy i artykułowy, nadto w osobnych działach sumiennie opracowane wiadomości z zakresu zagadnień naukowych i literackich, gospodarczych, pedagogicznych i wychowawczych, prawniczych i społecznych, turystycznych i sportowych, oraz specjalne tygodniowe dodatki dla dzieci i młodzieży, regjonalny dodatek humorystyczny i dodatek powieściowy. Abonament miesięczny, który z odnoszeniem do domu kosztuje tylko 2 zł. 50 gr., przyjmują wszystkie Urzędy pocztowe, Kioski, Agencje, Administracja w Katowicach i Reprezentacja w Chorzowie i Bielsku.

REDAKCJA: Katowice, ulica Batorego 4 (parter). Telefony: Redakcja dzienna: nr. 337-67 i 337-68, Redakcja nocna nr. 304-26 i 308-78.

ADMINISTRACJA: Katowice, ul. Kościuszki 15, II p. of. Telefony: nr. 304-26 i 314-44. Konto P. K. O. Katowice nr. 303.551. Najtańszy organ ogłoszeniowy.

POLSKA ZBROJNA

Dziennik wszechstronnie informujący o sprawach społecznych, politycznych i gospodarczych ze specjalnem uwzględnieniem zagadnień obrony Państwa.

Własne korespondencje z kraju i zagranicy

Dodatki tygodniowe: *„Tygodnik Literacko-Naukowy"*, *„Kultura i Sztuka"*, *„Tydzień Pani domu"*, *„Życie Kulturalne Wojska"* i *„Z obcych Wojsk"*.

Tylko zł. 3.— na miesiąc z doręczaniem do domu.

Cena egz. 10 gr.

Redakcja: Leszno 13, tel. 11-18-55 (sekretarz). Administracja: Leszno 3, tel. 11-50-22 (prenumerata).

REDAKCJA: Warszawa, Aleja Róż 2, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 19 do 20. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ — Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.